
MIEJSKA BIBLIOTEKA im. L. WARYŃSKIEGO W ŁODZI
EX LIBRIS

OSTATNIA KSIĘŻNA MAZOWIECKA.

OSTATNIA

KSIĘŻNA MAZOWIECKA

OBRAZEK Z DZIEJÓW XVI WIEKU.

PRZEZ

Adolfa Pawińskiego.



WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

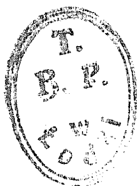
1892.

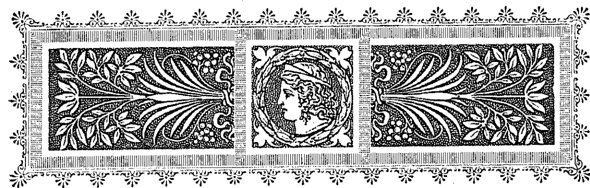
Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Октября 1891 года.

Druk Jana Cotty w Warszawie, Senatorska № 29.

I.

MŁODOŚĆ.





W lasach osieckich było głucho.

Umilkły już w nich oddawna myśliwskie rogi, ogarów granie ucichło. Dziki zwierz tak często płoszony, spokojniéj teraz spoczywał w swém legowisku. Leśne ptactwo kryło się bezpieczniéj w gęstwinie olch i grabów, osłanianych szeroką oponą odwiecznych dębów. Trawą zarastały ścieżki wydeptane niegdy przez gajowych i łowców. Puszcza, która przedtém rozbrzmiewała głośném życiem, układała się jak gdyby do długiego snu grobowego. Snem téż nieprzerwanym i wiecznym zasnęli dwaj ostatni książęta mazowieccy. Już ich na świecie nie stało. Oni to jeszcze w niedawnych latach przerywali kiedy niekiedy w huczném gronie dworzan i biesiadników tę głuchą i ponurą ciszę, w któréj tonęły mroczne bory osieckie. Atoli

z ich zgonem myśliwskie wyprawy ustały i puszcza zwolna zapadała w pierwotny stan posępnego milczenia.

Téj leśnéj ciszy wtórował spokój, w jakim był pogrążony zamek osiecki, opasany dokoła wieńcem gęstych drzew ciemniejących w oddali. Opodal rozsiadły się dworki folwarczku, a za niemi snuły się niezbyt długiém pasmem szare chaty ubogiéj w ludność wioski. Ustronie to, jakby na krańcu zamieszkałego świata, zamknięte było w sobie, odsunięte od szerokich gościńców, po których zwykła się toczyć fala ruchliwego życia. Jedyne połączenie z ludniejszém ogniskiem stanowiła droga, która prowadziła od Garwolina przez Osiecko i bór przyległy, obok zwierzyńca książęcego, gdzie stada jeleni i kóz dzikich się chowały, do Radwankowa, na prawy brzeg Wisły, skąd wzrok już obejmował po nad wstęgą srebrnych topól wyniosłe baszty i wieże przeciwległego zamku czerskiego.

W zameczku osieckim, który miał się stać widownią ostatniéj sceny tragicznego końca, wśród jakiego zginęła udzielność polityczna Mazowsza, gościła w początkach sierpnia 1536 roku księżna Anna, jedyna na polskiéj ziemi przedstawicielka wielkiego rodu Piastów. Tam w owém leśném ustroniu miała się dokonać smutna

i ciężka dla serca młodéj kobiéty zmiana nieubłaganego losu, tam w owém miejscu, okolonéṁ głuchą puszczą, miały rozbrzmiéć bez echa ostatnie żale i westchnienia do straconéj ojcowizny, do blasku, który już przygasł, do władzy, która już z rąk wypadła.

Było więc w Osiecku cicho jak w przyległéj puszczy, smętnie, jak na skraju czarnego boru mazowieckiego, samotnie, jak w dniach osierocenia. Sierocą bo téż dolę dźwigała na swych wątłych ramionach władczyni zameczku osieckiego i sąsiednich włości. Ona sama jedna została, jako jedyna odrośl książęcego szczepu Piastów na Mazowszu.

Ciężko los ją doświadczał. Jak liść jesienny, miotany wichrem, z wysiłkiem trzyma się swéj gałęzi, tak i księżna Anna, skołatana wielu przeciwnościami losu, po raz ostatni jeszcze się oprzéć postanowiła burzy, która się niebawem przesunąć miała nad jéj głową.

W młodych latach trwałego szczęścia zaznała niewiele. Życie świeciło raz blaskiem pogody, to znów ponurym zasępiało się cieniem. Częściéj jednak krwawiło się serce, niżeli biło radosném uczuciem. Ojca swego, który panował nad zjednoczonemi po śmierci braci dzielnicami: czerską, warszawską i ciechanowską,

straciła bardzo wcześnie. Była jeszcze tak młodą, zaledwie odrastała od ziemi, że mogła tylko jakby przez mgłę we wspomnieniach widzieć, jak książę Konrad zamykał powieki w 1503 roku, w tym samym zameczku osieckim, w którym obecnie w chwili rozpoczynającéj się opowieści, gościła. Zaznała natomiast niemało pieszczot matki. Była snadź bardzo pożądaną, przychodząc na świat, skoro chrzestne imię po niéj otrzymała. Zabawy lat dziecięcych dzieliła ze starszą zaledwie o rok siostrą Zofią. Przybył w prędkim czasie do téj szczebiocącéj już dwójki Stanisław, a w dwa lata późniéj powiększył to grono Janusz. Takie cztery młode latorośle, niezbyt wiele odbiegające od siebie wiekiem, wyrosły na pniu piastowskiego rodu. Ku nie małéj radości serc mazurskich, zazielenił się tak bujnie szczep książęcego domu, w którym już od pół wieku tylko usychające widziano konary. Na dwóch braci księżniczki Anny przechodziły drogą spadku prawa udzielnych władców. Ale Stanisław i Janusz zaledwie z pieluch wyszli, kiedy ich odumarł ojciec Konrad. Matka więc Anna, jako opiekunka i rejentka objęła rządy nad osieroconą ziemią i rodziną. Dodano jéj do boku radę, złożoną z niewielkiego grona dostojników.

Pod macierzyńskiém skrzydłem podrastały młode orlęta. Braci zaprawiano do rycerskich czynów, siostry sposobiły się do cnót domowych, któremi jaśniały oddawna księżniczki piastowskie. Dwór nie świecił przepychem, nie lśnił blaskiem, owszem mógł poniekąd uderzać prostotą. Sama matka, księżna Anna, tak przygodnie władająca berłem na Mazowszu, nie przyniosła ze sobą na zamek czerski Konrada, ani królewskiéj korony, ani książęcéj mitry. Była wprawdzie córką wielkiego możnowładcy litewskiego Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego, ale książęcym tytułem zaszczycał się nie ojciec Anny, lecz dopiéro brat jéj najstarszy. Znaczny na owe czasy posag, jaki z sobą wniosła Radziwiłłówna, wsiąkł niepostrzeżenie jak kropla wody w wyschniętą glebę piaszczystego łanu. Pustkami świecił skarb Konrada. Po braciach wziął on długi w spadku. Sam nie zdołał podźwignąć nadwątlonego oddawna gospodarstwa publicznego. Włości dworu książęcego topniały jak śnieg na słońcu marcowém. Dwór księżnéj opiekunki przeniósł się z Czerska do zamku warszawskiego, ale i tu stałego nie miał siedliska. Przeciwnie, trzeba było zmieniać miejsce pobytu, żeby korzystać z dogodności zapasów, zgromadzonych to w Będkowie, to

w Liwie, Ciechanowie, Łomży lub w Różanie. Tak też wśród tych podróży książęcéj rodziny, poznała młoda Anna wraz z siostrą i braćmi nieprzebyte bory w zawiślném Polesiu, zielone błonia nad Narwią i złotym kłosem uśmiechnięte łany ciechanowskiéj ziemi. W młodéj duszy niezatartemi rysy zapisywały się wrażenia téj miłéj uroczéj krainy.

Matce przypadły w udziale ciężkie kłopoty publiczne i troski o wychowanie dzieci. Rządy w rozległém księstwie wymagały ustawicznych przejazdów z miejsca na miejsce dla przewodniczenia w sądach, które nie skupiały się w jednym stołecznym grodzie, ale dla każdéj ziemi odbywały się oddzielnie, osobno, według starego zwyczaju. Przewód zaś sądowy był długi, przewlekły. Spraw nigdy nie brakło. Owszem, mnożyły się bez miary. Zagęszczały się zabójstwa, gwałty, najazdy. Częste sejmy dostojników i szlachty, pochłaniały czas i uwagę księżnéj rejentki. Poszło zatém niejakie zaniedbanie w wychowaniu młodych książąt. Im więcéj ukracano swawolę rozbujałéj szlachty, stanowiąc ostre przeciwko niéj prawa, tém silniéj rosła niechęć do niewieścich rządów. Rozdmuchiwała tlejącą głownię niezadowolenia zawiść ku tym, którzy korzystali bez umiarkowa-

nia z łask na dworze, gdzie niemi szafowała księżna wdowa. Zerwała się z tego powodu burza na Mazowszu. Ciemne chmury, co się już oddawna unosiły po nad całą ziemią, zwarły się w groźną nawałnicę, która zawisła nad dworem książęcym. Orężna kupa niesfornéj szlachty, uderzywszy w 1516 r. na zamek w Makowie, na bawiącą tam wraz z synami księżnę, zamierzała przemocą odebrać matce Stanisława i Janusza, żeby starszego posadzić na tronie. Jeżeli księżniczka Anna nie patrzyła wtedy własnemi oczyma na ten gwałtowny wybuch niezadowolenia, to niewątpliwie w kilka miesięcy późniéj w Warszawie, widziała ponownie zrywającą się burzę, kiedy pozwano przed sąd sprawców najazdu, a ci w towarzystwie swych popleczników zbrojno wtargnęli do miasta, lekceważąc sobie powagę majestatu i prawa. Była naocznym świadkiem jeszcze smutniejszych wypadków, które nie w mglistém tylko wspomnieniu się odbijały, jak niegdyś śmierć ojca, ale wyryły się głębokiemi śladami w świeżéj, wrażliwéj pamięci dorosłéj dwudziestoletniéj dziewicy.

Księżnę Annę odsunięto od władzy w początkach 1518 roku, wyzuto z godności rejentki i córce przyszło dzielić los osamotnienia z matką, wzdychającą do niepowrotnéj przeszłości.

Starszéj siostrze Zofii zaczęło się uśmiechać szczęście pożycia małżeńskiego po nieskutecznych zabiegach matki, oraz prymasa Łaskiego, wydania jéj zamąż za owdowiałego króla Zygmunta. Zgłaszał się o jéj rękę węgierski magnat Stefan Batory, który piastował w swym kraju wysoką godność naderspana czyli naczelnego wojewody. Otrzymał ją nareszcie po długich rokowaniach, w których główną przeszkodę stanowiło targowanie się o posag. W początku 1523 roku wypadło więc z kółka rodzinnego serdeczne ogniwo, kiedy się Zofia przeniosła na Węgry. Młodszéj Annie podobne szczęście nie sprzyjało. Żaden królewicz się nie zgłaszał, żaden książę choćby ze Szląska nie prosił o jéj rękę. Tymczasem inny cios zranił serce młodéj księżniczki. Księżna matka umarła w 1522 roku, nie doczekawszy się ślubu córki, złamana ciężkim losem i zgryzotami na widok tego, co się na dworze synów działo. Umarła, nie dobiegłszy, jak się zdaje, nawet kresu lat pięćdziesięciu.

Anna została sierotą. Opieka nad nią przeszła na obu braci panujących. Niewielka z nich była pociecha. Oni sami potrzebowaliby jeszcze silnéj ręki kierowniczéj. Stanisław miał 22-gi rok życia, Janusz liczył dwudziestą wiosnę

swojego wieku. Nie tyle niesposobnymi czyniła ich do tego młodość i niedoświadczenie, ile brak statku i powagi moralnéj. Nie nauczyli się chodzić w twardém jarzmie ciężkiego obowiązku, jaki spadł na nich w zaraniu lat młodzieńczych. Powabom wiosennego życia oprzéć się nie zdołali. Nie potrafili umiarkować dozwolonéj obfitości uciech i wylali się na zbytki. Z czary rozkoszy pili nektar odurzający aż do dna samego. Owiani duchem otaczającéj ich swawoli szlachty mazowieckiéj, przesiąkali wyziewami swego czasu. Nieokiełznana krąbrność, nie szanująca powagi prawa, wzrastała obok nich w groźny sposób. Miasto ją ująć w żelazne karby i przykrócić niesforność, książęta sami w innym kierunku przykładem swoim ośmielali wyuzdanie moralne. Rojna społeczność szlachecka, tak rojna i ludna, jak nigdzie na szerokiéj polskiéj ziemi, wychowana od wieków w tradycyach rycerskich, oddawna już nie miała pola w granicach niewielkiego księstwa do wylania wzbierających fal wojowniczych zapędów. Rdzą pokrywały się pancerze, tępiały miecze, łuki traciły siłę napięcia. Czego na wrogach, których brakło, wywrzéć nie było można, to szukało ujścia w zwadach, w najściach, w gwarach rodowych i sąsiedzkich. Na nizinach społecznych nurtowały zgubne prądy zdziczenia,

a z wyżyn tronu książęcego powiewał również wicher rozkiełznania moralnego.

W gospodarswie skarbowém dworu zagnieździł się nieład. Nie wystarczały książętom czynsze i dochody prywatne oraz publiczne. Sprzedawało się lasy, bory, potém zarośla, oddawano w zastaw włości, a kiedy i na téj drodze znalazły się przeszkody, brano pieniądze na kartki od żydów, towary od kupców warszawskich na słowo książęce. Stary miód z puszcz mazowieckich nie podniecał wśród biesiad dość silnie, zimne piwo wareckie lub garwolińskie nie grzało. Więc weszło w obyczaj na dworze „wino ryńskie“, więc muszkatele, więc małmazye. A zakazany owoc miłostek tajemnych wymagał w obfitości sznurów, pereł, złotych naszyjników, pasów nabijanych drogiemi kamieniami, adamaszków, altembasów wzorzystych i tylu innych kosztownych świecideł, pod których urokiem w owym wieku, o nadwątlonych podstawach moralności, skromność niewieścia jak wosk na słońcu topniała.

Kiedy podeschły źródła, skąd obaj młodzi książęta czerpali pełną dłonią gotówkę, nie mogły się ostać w całości zasoby pieniężne siostry Anny. Dobrotliwa księżniczka miała po matce w skrzyniach, puzdrach i szkatułach złoto, sre-

bro i klejnoty. Trudno się było oprzéć naleganiom braci. Więc z zamknięcia wydobywała, co wydobyć mogła. Była sama jedna. Jak się tu nie podzielić ze swoimi najbliższymi. Onaby z pod duszy wzięła grosz ostatni i złożyłaby w ręce ukochanych Stanisława i Janusza, gdyby ta ofiara potrafiła odwrócić cios, który ją czekał.

Stanisław umarł w 1524 roku. Głucha wieść obiegała po Mazowszu, że padł ofiarą trucizny z rąk kobiéty, któréj miłością wzgardził. Smutek dla księżniczki Anny tém większy, im gęstszy cień tajemniczości otaczał w ustach ludu nieprzewidziane to zdarzenie.

Pozostał Janusz na tronie, jedyny dziedzic Mazowsza, jedyny Piastów przedstawiciel, cała nadzieja przyszłości książęcego rodu. Ale i téj podpory los nie oszczędził. W dwa niespełna lata zgasł młody książę Janusz, podobnież jak starszy, w 24-ym roku życia, wśród podobnych okoliczności rozpowszechnionéj wieści o śmierci, spowodowanéj przez truciznę. Matka odumarła Annę w 1522 roku, brat Stanisław skończył swój żywot w 1524 roku, Janusz osierocił siostrę w 1526 roku. Więc co dwa lata ciężki młot losu uderzał, za każdym razem coraz silniéj, w skołatane serce księżniczki Anny.

Księstwo, jako lenne, z mocy wcześniejszych umów, powinno było przejść do Korony. Mazowsze, jako osobna dzielnica traciła swoję samoistność z chwilą wygaśnięcia męzkiego rodu piastowskiego. Lennéj posiadłości w myśl poprzednich zastrzeżeń, nie można było dziedziczyć po kądzieli w żeńskiéj linii. Księżniczka Anna żadnych praw do władzy nad Mazowszem nie miała. Jedynym prawnym spadkobiercą spuścizny piastowskiéj był król Zygmunt. Śmierć ostatniego księcia nastąpiła jednak tak niespodziewanie, w warunkach tak wyjątkowych, że zastała nieprzygotowanych zarówno króla, jak dostojników mazowieckich i szlachtę mazowiecką. Wśród téj nagłéj zmiany losu, kiedy wybiła ostatnia godzina udzielności Mazowsza, kiedy po kilku wiekach trzeba było odrębność księstwa pogrzebać, zbudził się w sercach mazowieckich taki żal, że wezbrane uczucie stłumiło odgłos nieugiętego prawa, któremu stać się miało zadość.

Księżniczka Anna rzuciła wtedy na chwiejącą się szalę losu swoję stanowczą wolę zatrzymania przy sobie władzy i księstwa. Prawie w ciągu pół roku piastowała w swych rękach rządy Mazowsza, pod grozą wyroku, który jak miecz Damoklesa wisiał nad jéj głową. Widok

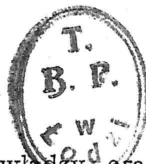
wiernéj szlachty, któréj serca żywszém tętnem się odezwały, równoważył choć w części uczucia smutku i bólu, jakie się cisnęły do młodéj, a tak ciężko stroskanéj niewieściéj duszy. Ale w końcu wypadło uledz smutnéj konieczności. Mazowsze do innych powołane było przeznaczeń: ono wrócić musiało do Korony i jednę z nią spojoną stanowić całość.

Anna poddała się zrządzeniu nieubłaganego losu. Złożyła władzę, zrzekła się tronu i jak sierota oddała się pod opiekę króla Zygmunta, który miał jéj ojca zastąpić. Przyjęła od niego opatrzenie, aby mogła spokojnie i wygodnie prowadzić żywot w warunkach, odpowiadających jéj świetnemu pochodzeniu. Wzięła więc mnogie włości, które niegdyś stanowiły oprawę jéj matki, wzięła kilka miast na Mazowszu, zamek liwski. Miała swój dwór, miała dawne sługi i służebnice, otoczenie i znosiła w pobożném uczuciu ciężką swą dolę sierocą.

Dziesięć lat upłynęło od owego 1526 roku, kiedy Anna zasiadała na tronie, przewodniczyła na sejmach, wymierzała sprawiedliwość, odbierała hołdy szlachty, szafowała łaską książęcą. Jak senne marzenie, przesunęły się te krótkotrwałe chwile blasku, ale wspomnienia ubiegłéj przeszłości odżyły właśnie podczas pobytu w za-

meczku osieckim, gdzie się odegrać miała ostatnia scena tragedyi — potargania jedynych jeszcze węzłów, które łączyły księżnę piastowską z ojcowizną mazowiecką. Uposażenie w licznych włościach było jéj dane przez króla Zygmunta, dopókądby zostawała w stanie panieńskim i za mąż nie wyszła. Tymczasem zaszedł ten wypadek. Trzydziestokilkoletnia księżniczka, sprzykrzywszy sobie stan sierocy, ciężkie osamotnienie, zatęskniła na schyłku młodych lat wiosny do szczęścia rodzinnego, aby ukoić tylu ciosami w życiu skołatane serce. Wianek swój panieński postanowiła oddać młodemu wojewodzie podolskiemu, Stanisławowi ze Sprowy Odrowążowi. Gody ślubne odbyły się w niejakim czasie przed przybyciem jéj do Osiecka. Król żądał, aby warunek nadania oprawy panieńskiéj, przysługującéj tylko do czasu zawarcia związków małżeńskich, — był spełniony. Właśnie między innemi miał być wzięty w posiadanie zameczek osiecki i zgoła wszystkie włości na Mazowszu. Ostatnie ślady pobytu rodziny Piastów na ziemi mazowieckiéj miały być zatarte.

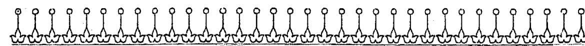
Opis téj smutnéj chwili odłóżmy do dalszego rozdziału. Trzeba ją sobie uprzytomnić ze stanowiska zdarzeń, które chwilowo wyniosły w 1526 roku księżniczkę Annę na szczebel



władzy, oraz znaczenia politycznego a w dziesięć lat późniéj jaskrawsze tło pod obraz wypadków rzuciły. Wróćmy więc do tych zdarzeń, wśród których Anna objęła rządy na Mazowszu i sprawowała je w ciągu kilku miesięcy, broniąc zagrożonéj udzielności księstwa mazowieckiego. Dotkniemy przedmiotu, którego nie poruszyło żadne pióro dziejopisa. Urok nowości może zdoła bladym rysom wydobyć się mającym przydać nieco powabu, i może potrafi przykuć uwagę do przełomu dziejowego, który się tak zatarł w pamięci, że nawet jeden ze współczesnych poważnych badaczy, wielce zasłużony właśnie około zebrania pamiątek piastowskich, utworzył z księżniczki Anny i z księżnéj matki, zmarłéj w 1522 roku, jednę osobę.

II.

ZGON OSTATNIEGO KSIĘCIA.



Jakby w przeczuciu swego bliskiego zgonu, a może téż tylko ulegając ustalonemu zwyczajowi, zwołał książę Janusz sejm do Warszawy, sejm powszechny całego Mazowsza na początek marca 1526 r. Sam także podążył, aby stanąć na czas właściwy w stołecznym grodzie, który był w grudniu minionéj zimy porzucił. Ostatnie tygodnie, począwszy od nowego roku, przepędził w Rzwieniu pod Rożanem, przez cały ten ciąg ani razu nie porzucając gościnnego dworu, w którym bawił dłużéj nad zwykłą potrzebę. Był to dom Jakóba Brzoski, który od swéj dziedzicznéj posiadłości pisał się zwykle Jakóbem ze Rzwienia, a do wysokich należał dostojników, będąc marszałkiem wielkim księstwa, tudzież starostą sąsiedniego grodu różańskiego. Godność, którą piastował, zbliżała go

więcéj, niż kogo innego, do osoby książęcéj, zresztą dawniejsze to snać były stosunki, skoro zamężna jego córka w panieńskim stanie, jeszcze za życia staréj ksieni Anny, na zamku przy niéj pełniła zaszczytną służbę. Może książę, dręczony chorobą, w rodzinnym domu marszałka znalazł troskliwą opiekę w ustroniu nadnarwiańskich okolic, zdala od kłopotliwych obowiązków władzcy i najwyższego sędziego. W ostatnim dniu lutego porzucił ks. Janusz dwór rzwieński i w towarzystwie marszałka zdążał do Warszawy na zagajenie sejmu. Już czwartego dnia zastajemy go tu czynnym. Podróż zatém odbyła się dość śpiesznie i bez szczególnych przeszkód.

Choroba, którą z sobą przywiózł, już dawniéj nurtując jego ciało, widocznie wzmagała się teraz szybko, skoro książę niebawem po powrocie do Warszawy, zażądał przybycia świadków celem wyłuszczenia im swéj ostatniéj przedśmiertnéj woli.

Było to w niedzielę 4-go marca.

Na zamku warszawskim, w komnacie książęcéj zgromadzili się goszczący już wtedy w mieście z powodu zapowiedzianego sejmu najwyżsi dostojnicy i otoczyli złamanego niemocą Janusza. Przewodniczył im najprzedniejszy na Mazowszu dygnitarz, wojewoda mazowiecki, Feliks

z Brześcia. Obok niego stanęli dwaj kasztelanowie: Jan z Woli Chinowskiéj, wizki, Piotr z Kopytowa, warszawski. Towarzyszył im nieodstępny marszałek Jakób ze Rzwienia. Przysunęli się do nich dostojnicy kościelni, biegli w prawie kanoniczném, a między nimi pierwsze trzymali miejsce Mikołaj z Żukowa, kanclerz księstwa mazowieckiego, oraz Wojciech Popielski, podkanclerzy. Całe zaś to koło uzupełniali inni niższego stopnia „czestnicy“ i dworzanie.

Książę, „będąc zdrów na umyśle i na duchu, tylko niemocą ciała złożony“, w te do obecnych odezwał się słowa, prosząc, aby dla wiecznéj rzeczy pamięci były do ksiąg zapisane:

— „Boleję nad losem najdroższéj naszéj siostry, księżniczki Anny, którą porzucam w tym oto stanie osierocenia, iż nie widzę nikogo, ktoby po stracie ojca, matki, stryjów i oświeconego księcia Stanisława, brata, był jéj w sieroctwie pociechą i podporą. Jeżeli za wolą boską i ja zamknę powieki, jeszcze większe czeka ją osierocenie...“

I ulżywszy tém przemówieniem swojemu skruszonemu sercu, nie zapomniał o tém, jakby wedle sił zabezpieczyć przyszłość ukochanéj siostrze Annie. I oto wobec świadków wyznaje jawnie i szczerze, że zniewolony naglącą ko-

niecznością, brał od niéj wraz z bratem świętéj pamięci Stanisławem, liczne klejnoty w złocie i w srebrze, kosztowności, perły, drogie kamienie oraz gotówkę złotą i srebrną, które to rzeczy miała sobie księżniczka przekazane w testamencie przez zmarłą najukochańszą matkę, księżnę Annę. Pragnąc zatém opatrzéć jéj dolę sierocą i zapobiedz nieszczęśliwościom, jak również za owe klejnoty i pieniądze pocieszyć ją i wynagrodzić, niemniéj i z innych skłaniających go do tego powodów, zapisuje najdroższéj swéj siostrze 60 tysięcy złotych monety i liczby polskiéj, i zabezpiecza na całém księstwie mazowieckiém oraz na wszystkich dobrach książęcego stołu, w ziemiach czerskiéj, warszawskiéj, zakroczymskiéj, wyszogrodzkiéj, ciechanowskiéj, łomżyńskiéj i wizkiéj, tudzież na miastach, miasteczkach, wsiach i dobrach oddawna należących do księstwa mazowieckiego, których sam był prawnym posiadaczem i panem.

Gdy obecni wyrażeniu téj ostatniéj woli dostojnicy przyzwolenie swe wyznali, książę polecił tę darowiznę, zapis i oprawę zapisać do ksiąg wieczystych kancelaryi mazowieckiéj, z zachowaniem nadto nietykalności praw posagu i wiana, oprawionego przez ojca Konrada na niektórych dobrach, na rzecz zmarłéj ksieni

Anny, przechodzących od chwili zgonu księcia na prawnych jego i matki spadkobierców.

A załatwiwszy sprawę uporządkowania stosunków majątkowych, zwrócił się do otaczających go dostojników z napomnieniem i prośbą, aby jegomość króla Zygmunta usilnie błagali, iżby się łaskawym i dobrotliwym dla pozostałéj sieroty okazał. „Niech król jegomość, rzekł w końcu Janusz, tę ostatnię moję wolę uszanuje, niech ma wzgląd na nasz stary ród książęcy, na usługi świadczone przodkom jego, oraz samemu królowi jegomości i téj koronie świetnego Królestwa Polskiego. Niech król to sprawi, aby siostra moja wśród klęsk i smutku, które ją dotykają po stracie rodziców i najbliższych sercu, w ojcowskiéj jego dobrotliwości i łaskawości mogła znaleść pociechę i podporę.“

Smutne przeczucie Janusza powoli się ziszczało. Siły ubywały. Nie starczyło ich na to, aby nazajutrz przewodniczyć w sądzie książęcym. Nie było nawet nadziei prędkiéj poprawy. Zaszła więc wobec tego potrzeba odroczenia na kilka tygodni wszelkich spraw sądowych. Obrady na sejmie, które zagajano, toczyły się leniwie na progu zagadkowego jutra. Uczucie niepewności tłumiło wszelką chęć poruszania donioślejszych pytań. Z zamku nadcho-

dziły coraz smutniejsze wieści. Zaledwie tydzień upływał od powrotu księcia do Warszawy, szósty dzień się kończył od chwili sporządzenia ostatniéj woli, a już gasło życie w młodym 24-roletnim Januszu.

W sobotę 10-go marca skonał ostatni potomek piastowskiego rodu. Z jego zgonem kończyła się udzielność Mazowsza.

Sprawa ta była prosta, niezłożona, jasna jak słońce. Wątpliwości żadnéj być nie mogło. W umowach poprzednich z Koroną, wypadek, jaki się stał obecnie, był przewidziany, następstwa jego ściśle określone. A jednak pomimo to, gdy zaszła bezpotomna śmierć Janusza, gdy ziścić się miały nieuchronne jéj pod względem politycznym skutki, losy przyszłe Mazowsza taką siłą opanowały umysły wszystkich, że zarówno Anna, jak dostojnicy i szlachta, oprzeć się nie mogli pytaniu, azali istotnie taka była wola prawa i takie niezłomne jego postanowienie? A to pytanie wnet taki wznieciło niepokój, tak zaprzątnęło uwagę i zamąciło głowy, że wygórowało ponad wszystkie inne rzeczy i odsunęło nawet na stronę sprawę pochowania zwłok zmarłego księcia.

Układy, zawarte poprzednio z królami polskimi co do władania księstwem mazowieckiém

określały wzajemny stosunek jasno i niedwuznacznie. W roku 1496 ojciec książąt Stanisława i Janusza tudzież Anny, Konrad III-ci, książę czerski, zgodził się był przyjąć od króla Olbrachta ziemię czerską na prawie lennném, z mocą przekazania jéj swym prawym potomkom męzkim. Co zaś do innych ziem, które na niego przypadały po bezpotomnym zgonie braci, to w myśl nadania, uczynionego w tym samym co wyżéj roku, otrzymał je tylko dożywotnio z wyraźném zastrzeżeniem, iż po jego śmierci ziemie warszawska, wyszogrodzka, zakroczymska, ciechanowska, łomżyńska i nowogrodzka przejdą do Korony. Dzielnica płocka wraz z ziemią wizką już rokiem wcześniéj, bo w r. 1495 były włączone.

Kiedy książę Konrad umarł w 1503-im roku, zaszedł więc wypadek, w następstwie którego pomienione ziemie, jako lenność, powinny były przejść pod władzę króla polskiego. Pozostali po nim synowie Stanisław i Janusz mogli zgłosić się ze swemi prawami spadkowemi tylko do ojcowizny, czyli do bardzo szczupłego księstwa czerskiego. Matka jednak Anna potrafiła zręcznemi zabiegami i pieniędzmi u króla Aleksandra, będącego w ciężkiéj potrzebie, tyle wyjednać, że w 1504-ym roku obu młodych

książąt zachowano nietylko przy ojcowiźnie, ale nadano im prawem lenném i te ziemie, które z mocy układu z 1496 roku miały przypaść Koronie. Nadto zapewniono obu braciom jeszcze tę dogodność, że wbrew zwyczajom lennym, mogli wzajem po sobie, jeden po drugim dziedziczyć, atoli z wyraźném zastrzeżeniem, że posiadane przez nich ziemie i księstwa, będą mogły przechodzić drogą spadku tylko na synów i wogóle na potomków męskich. Wrazie bezpotomnego zejścia obu braci, synów ich lub następców męskich, wszystkie ziemie i posiadłości, nie wyłączając czerskiéj, miały wrócić do Korony, po stosowném opatrzeniu przez króla pozostałych córek, z zachowaniem ich praw do posagu i wiana, oprawionego na niektórych dobrach przez Konrada. Dla ubezpieczenia swoich praw do Mazowsza, król Zygmunt nowym aktem wzmocnił swój stosunek zwierzchniczy, zawarłszy na sejmie w 1523-im roku umowę z obu pełnoletnimi już książętami, Stanisławem i Januszem, w któréj ponownie przyznano prawo spadkowe książętom mazowieckim, ale tylko w linii męskiéj, zstępnéj.

Rzecz zatém była bliska, świeża, niezadawniona, a prócz tego zupełnie jasna. Osierocone dwie córki, Zofia i Anna, żadnego prawa

nie mogły rościć do spadku politycznego, nawet do ziemi czerskiéj, jako do ojcowizny, któréj się w ich imieniu zrzekła była księżna-matka, opiekunka, w zamian za otrzymane w lenność ziemie warszawską, zakroczymską i inne.

Nie potrzeba było być doktorem prawa, żeby zrozumiéć, jaki mógł zachodzić stosunek księżniczki Anny do puścizny mazowieckiéj. Tém mniéj wątpliwości w téj mierze powinni byli miéć zarówno kanclerz Żukowski, jak i podkanclerzy Popielski, którzy powołani byli do zredagowania na piśmie ostatniéj woli księcia Janusza. W testamencie jego nietylko żadnéj nie masz wzmianki o przekazaniu księżniczkom ojcowizny, bo jéj stanowczo być nie mogło, ale owszem, wyraźny uwydatnia się brak jakichkolwiek do spadku politycznego podstaw ze słów zalecających księżniczkę Annę dobrotliwéj i ojcowskiéj opiece króla Zygmunta.

A jednak, w dwa dni po śmierci brata, już w przytomności Anny odbywają się czynności sądowe i niebawem chwilowa władczyni zaczyna tytułować się „księżną z Bożéj łaski", a nawet „jedyną księżną, dziedziczką Mazowsza".

Zapewne kanclerz, jak i podkanclerzy, niemniéj i dostojnicy nie mieli powodu opierać się księżnie tymczasowéj, nie będąc upoważnieni wy-

raźnie do działania w interesie króla. W owych zaś wiekach nie istniała ta sprężysta siła nowoczesnych rządów, która w mgnieniu oka dokonywa przeobrażeń politycznych, natychmiast stanowiąc na miejsce gasnącéj, nową władzę. Zresztą wypadek śmierci ostatniego księcia mazowieckiego zaszedł nieomal nagle, niespodziewanie. Janusz umarł w kwiecie swego wieku. Król bawił daleko, w Gdańsku, zajęty pilnemi sprawami pruskiemi. Nie prędko go więc mogła dojść wiadomość wiarogodna, a zresztą skoro ją odebrał, nie omieszkał niezwłocznie wysłać swych pełnomocników. Lecz nim ci przybyli do Warszawy, kilka tygodni upłynęło, a czas ten wystarczył, aby się utrwaliły zamiary bronienia zagrożonego zewsząd posterunku.

Sejm, który jeszcze za życia swego zagaił Janusz, rozszedł się po zgonie księcia. Szlachta się rozjechała. Trzeba było wrócić do braci, naradzić się na sejmikach powiatowych, co daléj począć, jak o sobie pomyśléć, jak dalsze zabezpieczyć losy Mazowsza? Nie możnaż było oddać się tak na łaskę i niełaskę nowego władzcy, jeżeli już takie miało być nieodwołalne zrządzenie losu.

Księżniczka Anna, o ile się zdaje, słuchała chętniéj głosu uczucia, aniżeli rozumu. Łatwiejszy przystęp do serca i umysłu kobiéty miał promień złudnéj nadziei utrzymania się przy księstwie lenném, przy ojcowiźnie, niżeli przekonanie, że powagę prawa uszanować należy i poddać mu się bezwzględnie. Mogła ją także wspierać w téj mierze i postawa szlachty, która w przywiązaniu naturalném do warunków, wśród jakich wzrosła i żyła, skłaniała się raczéj ku utrzymaniu starego porządku rzeczy, niż ku rzucaniu się w odmęt niepewnego jutra. Z wytrwałości, z jaką szlachta mazowiecka następnie broniła swoich odrębnych kształtów politycznych i sądowych, wnosić należy, że zachowawcze usposobienie odrazu wzięło górę nad dążnościami tych umysłów, które jasno nietylko widziały konieczność poddania się wymaganiom układów prawnych, ale pojmowały dziejową doniosłość spojenia się Mazowsza z Koroną w jedno polityczne i społeczne ciało. Takiéj szlachty, coby z tego wyższego stanowiska spoglądała na przełom, jaki się miał dokonać w losach jéj ziemi mazowieckiéj, było prawdopodobnie nie wiele. Idea odrębności w ciągu wieków całych trzymała się wszędzie, zarówno u nas, jak i gdzieindziéj na widowni dziejowéj, mocno, opornie, zwłaszcza wpośród ogółu mieszkańców, bez względu na układy, traktaty umowy, i bez

względu na przeciwne jéj, choćby w postać wyższego prawa ujęte wymagania i prądy.

Już też bardzo prędko oznaki tego usposobienia występować zaczęły w kształcie głuchéj wieści, którą z ust do ust sobie podawano, że wypadnie chyba wystąpić z bronią w ręku dla osłony udzielności Mazowsza. Pogłoska szybko rosła jak lawina i wnet wybiegła po za granice księstwa.

W Płocku, główném mieście sąsiedniéj dzielnicy, powtarzano sobie na ucho, że już ośm tysięcy orężnéj szlachty powołano pod chorągwie, dla obsadzenia warownych grodów i ku obronie Mazowsza. W podnieconéj wyobraźni ukazywało się widmo wojny. Trwożliwi a przezorniejsi z pośród szlachty, z żonami i dziećmi, ze sprzętem domowym przenosili się do krewnych, zamieszkałych w ościennych powiatach Korony. Inni zaś pocieszając się, opowiadali sobie, że nawiązano już rokowania z księciem Albertem pruskim o udzielenie pomocy posiłków wojennych i t. p. Jeżeli w tych pogłoskach prawdy istotnéj było mało, albo ani źdźbła nawet, jak się to często zdarza w podobnych okolicznościach, to w każdym razie wyraźnie w nich uwydatnił się nastrój umysłów szlachty, zebra-

néj na pierwszy sejm, jaki się miał odbyć pod przewodem młodéj księżny.

Zwołany przez Annę nowy sejm powszechny po rozejściu się tego, który w Warszawie był świadkiem śmierci Janusza, miał się odbyć w kwietniu, aby wysłuchać głosu szlachty, objaśnionéj już co do nowego porządku rzeczy, jaki nastał po zgonie księcia. Potrzeba było uroczyście pochować zwłoki zmarłego Piasta. Sprawa ta wymagała dłuższego czasu i przygotowań. Zachodziły święta Wielkanocne na początku kwietnia. Wypadło uwiadomić króla, zaprosić na pogrzeb, wysłać gońców w dalekie strony, aż na Węgry, do starszéj siostry, i wreszcie, załatwiwszy smutny obrzęd, postanowić co do dalszych losów Mazowsza. Dlatego pomkniono czas zagajenia sejmu aż na drugą połowę kwietnia.

III.

NA TRONIE.



Kiedy dzień oznaczony nadszedł, ujrzała Warszawa w obrębie swych murów zjazd niezwykle liczny. Stawili się wszyscy dostojnicy wyżsi, przybył cały urzędny poczet stolników, chorążych, cześników, podstolich, sędziów podkomorzych, zjechali się posłowie ze wszystkich ziem i powiatów mazowieckich w tłumném towarzystwie braci szlachty pospolitéj. Zaludniły się puste cele klasztorów u XX. Bernardynów i Augustyanów, gdzie gościnę dla braku zajazdów miejskich znajdowało rycerstwo, ożywiły się samotne dworki, usiane na przedmieściu przy drodze, która wiodła od zamku do kaplicy św. Krzyża w kierunku Czerska, zaroiło się na ulicy Grodzkiéj i Świętojańskiéj, w przyległym tuż rynku i w dalszych zaułkach ciżbą szlachty szaraczkowéj, sług i pachołków.

Z dostojników, którzy na Mazowszu niby rodzaj izby senatorskiéj stanowili, nie brakło nikogo. Był tam wojewoda mazowiecki, który przednie zajmował miejsce, Feliks Brzeski, znany nam już jako świadek testamentu Janusza, a razem z nim stawili się wszyscy kasztelanowie, których siedmiu naonczas liczyło Mazowsze. Prastaréj ziemi czerskiéj godność kasztelana piastował Prażmowski. Wizką kasztelanią zajmował ochmistrz dworu księżniczki Jan Łoski z Woli Chinowskiéj. Warszawskiéj ziemi panem był Piotr z Kopytowa. Jan Oborski siedział na zakroczymskiém krześle. Do Aleksego Lubeckiego należała kasztelania wyszogrodzka. Jeden z Prawdziców, Adryan Gołyński, był ciechanowskim, wreszcie Michał Zaliwski, co z Junoszów pochodził, liwskim był kasztelanem. Wraz z nimi ukazał się cały poczet niższych „czestników“ i szlachty powiatowéj. Ktoby ich tam wyliczył wszystkich, którzy przybyli hołdy swe złożyć pani i dziedziczce Mazowsza i oddać ostatnią posługę ostatniemu Piastów potomkowi!

Sejm zagajono, rozpoczęto obrady. Aliści nadchodzi wiadomość, że od strony Błonia zbliżają się ku Warszawie dwaj posłowie z orędziem królewskiém. Miła czeka ich niespodzianka. Po drodze dochodziły ich poprzednio wieści, że

na Mazowszu wre, kipi, że się na burzę zanosi. Mówiono im, iż murem opasana Warszawa, zamknie przed nimi bramy, uzbroi swe wieże i nie wpuści ich do wnętrza. Nieustraszeni atoli temi trwożliwemi pogłoskami, śmiało posuwają się naprzód, jednak uważają za stosownie wysłać naprzód gońca, aby uprzedzić o swojém poselstwie i ugłaskać najeżone umysły. Aż oto na pół mili przed miastem spotykają ich uroczyście i życzliwie bracia Mazurowie, i to nie szlachta zagonowa, ale poczesne grono dostojników, w poczcie licznych dworzan. W imieniu księżnéj witają ich: prałat, kasztelan i dwaj starostowie. Bez przedstawiciela duchowieństwa obejść się w tym razie nie mogło. Poselstwo bowiem królewskie sprawował biskup kamieniecki, Wawrzyniec Miedzyleski, mazowszanin z rodu i pochodzenia. Towarzyszem jego był kasztelan biechowski, Mikołaj Rusocki. Równy się więc im należał honor w osobach tych, co mieli ich na ziemi mazowieckiéj powitać i w progi Warszawy wprowadzić.

Nie poprzestano atoli na tym jednym znaku uszanowania dla przedstawicieli królewskich. Skoro bowiem wjazd ich się odbył, a było to w Sobotę, w dzień św. Witalisa, 28 kwietnia, skoro tylko posłowie w wyznaczonéj sobie sta-

nęli gospodzie, zgłosiła się wnet do nich prawie cała rada książęca, składając im pozdrowienia zarówno w księżnéj, jak i we własném imieniu.

Po uprzejmém podziękowaniu, posłowie bez zwłoki czasu proszą o wyjednanie im nazajutrz posłuchania u dworu.

Wojewoda, kasztelanowie, zaniepokojeni nieco tém nagleniem, oświadczają, iż nie widzą potrzeby takiego pośpiechu. Wszak święto zachodzi, uroczysty dzień niedzieli, przytém księżna nieco niedomaga. Ale wreszcie ulegają żądaniu posłów. Niechże się już od nich prędzéj dowiedzą wszyscy, co król zwiastuje: wojnę czy pokój?

Nazajutrz pomimo dnia świątecznego, przed południem odbyło się na zamku uroczyste wobec księżnéj, dostojników i szlachty posłuchanie. Posłowie królewscy, w myśl danéj instrukcyi, oględnie, ostrożnie rzecz swą prowadzą, jak na prawdziwych przystało dyplomatów. Zwolna, miękko, miodopłynnych słów potoki, a jednak zawsze główny przedmiot swéj misyi mają na widoku. Ile tam wytworności w przemówieniach, wdzięku w zwrotach, że nie powiem elegancyi, która ówczesnego poloru polskiego tak ujmującém jest świadectwem.

„Król jegomość, rzekli posłowie, nasz pan najmiłościwszy, chowa w swéj duszy łaskę i miłość nieograniczoną ku oświeconéj księżnie oraz i ku zmarłym przodkom jako ku swym i korony swéj lennym hołdownikom za te wierne ich usługi, tylekroć świadczone domowi królewskiemu i rzeczypospolitéj. Ubolewa nad zgonem przedwcześnie zgasłego książęcia i lituje się smutnéj doli osieroconéj jego siostry. Z wrodzonéj swéj łaskawości przysyła swych posłów, aby ci żal jego wyrazić oraz strapioną księżnę pocieszyć mogli, którą król jegomość jako własną córkę łaską swą otacza. Wszystkich to ludzi los nieuchronny, iż umrzéć muszą i temu prawu poddać się trzeba; w tym téż wypadku król jegomość swój żal poskramiać jest zniewolony i mniema, że księżna również boleść swą pohamować winna“.

A zagaiwszy rzecz tak słodko, nadmienili, że w odpowiedzi na poselstwo, posłane przez księżnę do króla, bawiącego naówczas w Malborgu, życzeniem było miłościwego ich pana, aby się pogrzeb księcia odbył jednocześnie ze zjazdem dostojników i szlachty w dniu 30 kwietnia t. j. nazajutrz i że tym celem właśnie przybyli, aby uczestniczyć w tym smutnym obrzędzie. Dalsze zaś swe zlecenia oznajmią po pochowaniu zmarłego księcia.

Na tém skończyli swe przemówienie.

Cała rada zbliżyła się do księżnéj, aby zdania jéj wysłuchać. Niezbyt długo przyszło posłom czekać na odpowiedź. Wyłuszczył ją wnet podkanclerzy mazowiecki, Wojciech Popielski.

— Co do pochowania ciała — prawił — to oświecona księżna poda wkrótce powody, dla których uczynić tego obecnie nie może, co się zaś tyczy sejmu, to ten właśnie się odbywa.

Posłowie królewscy po tych słowach opuścili komnaty zamkowe.

Sprawę przeniesiono do sejmu. Nuż radzić, co daléj począć i jak się zachować? Dzień cały upłynął na wspólném porozumiewaniu się rady książęcéj z posłami szlachty mazowieckiéj. Rozchodziło się o to, czy zastosować się do żądania króla, czyli mu téż się oprzéć. W każdym razie, prędzéj czy późniéj, zwłoki księcia pochować należało. Mógłże więc powstać z tego powodu jaki spór poważny? Rzecz na pozór drobna, jednak stała się ona powodem długich w sejmie rozpraw. Chyba szlachcie nietyle o czas pogrzebu chodziło, ile raczéj o to, co daléj być miało. Niechże więc posłowie królewscy swych zleceń nie trzymają w tajemnicy.

Nazajutrz rano, w dniu oznaczonego przez króla pogrzebu, udają się wysłańcy z rady książęcéj i przekładają do wyboru oraz uznania posłów, taką prośbę: aby raczyli ponownie przybyć do sali sejmowéj na zamku, gdzie dostojnicy z rycerstwem zebrani będą i tam wobec wszystkich wyłuszczyli im następną część swoich zleceń. Całego bowiem zgromadzenia tak tłumnéj rzeszy, któraby z miejsca swych obrad sama chętnie przyszła, nie zdołałaby pomieścić ciasna gospoda posłów królewskich, bez rycerstwa zaś rada książęca w szczupłém swém gronie o niczém stanowić nie ma prawa. Albo gdyby na to posłowie dla pewnych względów przystać nie chcieli, to już chyba rada książęca, czyniąc zadość wymaganiom godności majestatu królewskiego, sama się zgłosi i usprawiedliwi powody, dla których uroczystość pogrzebu odbyć się nie może.

Dyplomaci króla Zygmunta, rozważywszy na subtelnéj wadze oba wnioski, przechylili szalę na korzyść drugiego w przekonaniu, iż odpowiedniéj będzie dla zachowania powagi i godności monarchy polskiego, żeby do nich wprzód przybyli ze swém oświadczeniem członkowie rady książęcéj. Nadmienili wszakże przytém, iż następnie, jeżeli zajdzie potrzeba, nie omieszkają sami udać się osobiście do całego rycerstwa.

Stało się według życzenia.

Rada książęca w całym swym składzie przybyła do gospody posłów królewskich. Przytoczono powody, które skłoniły księżnę i sejm do odroczenia uroczystości pogrzebowéj. Trzy główne były, na które się powoływano.

Najprzód, że goniec jeszcze z Węgier nie wrócił od starszéj siostry Zofii, która we własnéj osobie prawdopodobnie przybyć postanowiła.

Powtóre, że w skarbie książęcym grosza nie masz, takie są pustki, na opędzenie kosztów pogrzebu.

Potrzecie, że sama księżna szwankuje na zdrowiu.

Usprawiedliwiając tym sposobem konieczną i niezbędną zwłokę, wyrażono zarazem prośbę, aby posłowie wstawili się do króla jegomości, ugłaskali jego dobrotliwe serce i raczyli mu przełożyć, iż pochowanie zwłok powinno nastąpić nie pod przymusem, ale z wolnéj nieskrępowanéj woli.

Wyłuszczone trzy okoliczności, każda po szczególe, jak i razem wzięte, mogły się wydać raczéj pozornemi, niż istotnemi przeszkodami. To téż dyplomaci królewscy nie silili się na wykazywanie płonności powodów, ale pominąć milczeniem nie mogli tego mianowicie punktu,

który obwijany dotychczas w jedwabne grzeczności, wystąpił teraz jako istotny kamień obrazy. Napomknięto o tém, że pogrzeb księcia powinien być aktem wolnéj, niepodległéj woli, a nie być następstwem postanowień tego zgromadzenia, które niezależnie od króla stanowić o sobie może.

Tu już rzeczy nazwano po imieniu. Uchylona zasłona, podniesione przyłbice; sprzeczności uwydatniły się jaskrawo. Orzeł koronny rozwinął swe szerokie skrzydła i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie oko w oko.

— Krzywda się stanie królowi jegomości, rzekli miękko i łagodnie dyplomaci, uwłaczać to będzie jego powadze, jeżeli się nie stanie zadość jego życzeniu. Ziemie te po zgonie ostatniego męskiego potomka jako lenne, przeszły już pod władzę Korony i pod berło królewskie. Król polski zwierzchnim jest panem Mazowsza.

— My zwierzchność najmiłościwszego króla Zygmunta uznajemy, odparli wnet ci, którzy w imieniu rady książęcéj przemawiali, ale... i tu już nie obwijając w bawełnę, otwarcie wypowiedzieli, co dawno taili w swém sercu, — aleć to rzecz nie jest jeszcze rozstrzygnięta, po czyjéj stronie słuszność i sprawiedliwość, czy większe, wyższe i lepsze prawo ma król jegomość,

czy też pozostała ze szczepu książęcego dziedziczka, która w spadku bierze dziedziczne dobra prawem natury i prawem boskiém. Rzecz ta wymaga dłuższych rozpraw, rozpoznania i rozsądzenia. Ufamy, że jego królewska mość ani gwałtem, ani obcesem nie pocznie sobie zarówno z oświeconą księżną panią, jak i z nami, ale owszem postąpi we wszystkiém sprawiedliwie i łaskawie.

— Król jegomość, tak na te ostre i otwarte słowa brzmiała stanowcza odpowiedź posłów, nie zwykł nikomu gwałtem czegokolwiek odbierać. Jak w dobrotliwości swéj osieroconę księżnę, was wszystkich również, mości panowie, oraz całe rycerstwo raczy zachować przy wszystkich prawach i wolnościach, tak znów swoich jak i korony polskiéj praw wyrzekać się nie może, przeciwnie pragnie je stanowczo utrzymać i do skutku przywieść.

Rozprawiano jeszcze o tém i o owém, ale na chwiejącą się szalę postanowień z jednéj i drugiéj strony padły już poważne i ciężkie słowa. Stosunek wzajemny się wyjaśnił. Nie było potrzeby wdawać się w dalsze głębokie wywody. Wysłańcy książęcy bez posłów rycerstwa nie mogli dalszych stawiać kroków na téj drodze. Zrozumieli dyplomaci trudność ich położenia.

Jak tu jednak iść do szlachty i zwiastować im taką nowinę? Więc żeby im ulżyć ciężaru, umniejszyć przykrości, przystają na to, że sami pójdą wraz z niemi do zamku, przemówią do zgromadzonéj braci i usiłować będą przygasić zarzewie w rozpalonych głowach.

W wielkiéj sali poselskiéj poczet rycerstwa nieprzeliczony. Niepokój zapanował w umysłach. Szmer głośny się rozlega. Imię króla z ust do ust przebiega. W sercach wre i kipi. Gorączka wzrasta. Uczucie wzbiera.

Wchodzą posłowie królewscy.

Wita ich chwilowa cisza. Ale zaledwie zasiedli w krzesłach, zaledwie odetchnęli i spojrzeli w rozognione oczy tłumu, aliści naprzód wysuwa się jeden ze szlachty, poseł Służewski ze Służewca z pod Warszawy i nie czekając zagajenia obrad, sam w te krótkie a gorące odzywa się słowa.

— Miłościwi panowie, rady królewskie, w imieniu wszego rycerstwa tego przesławnego księstwa mazowieckiego, proszę was, raczcie wyłuszczyć naszym radom i nam tu wszystkim wobec orędzie królewskie, któreście wczor a w przytomności księżnéj pani i naszéj dziedziczki, po dokonaniu pogrzebu obiecali nam oznajmić. Oświadczam wam, że dziedziczkę na

szą, choćby nam krew przyszło przelać i życie położyć, nie opuścimy.

Głucha cisza, jaka po téj krótkiéj a jędrnéj mowie nastała, świadczyła, że głos Służewskiego był głosem ogółu.

Szepnęli do siebie posłowie królewscy jakieś tajemne słowa, porozumieli się wzajem szybko, zmierzyli wzrokiem gorączkę uniesień i uznali chwilę tę wzburzenia umysłu za nieodpowiednią do wypowiedzenia dalszych zleceń królewskich. Jednakże jeden z posłów, biskup Międzyleski, oddawna w praktyce dyplomatycznéj wyrobiony, nie uważał za stosowne milczeniem pokrywać niespodziewany ten wybuch namiętnych uczuć; postanowił więc, korzystając ze swéj powagi duchownego dostojnika, dać kilka słów odpowiedzi na rzucone wyzwanie.

— Mości panowie i bracia najmilsi — rzekł biskup. — Nie spełniliście pierwszéj woli naszego najsławniejszego króla w rzeczy pogrzebu, więc chyba także i dalszéj nie uczynicie zadość, jak miarkować możemy z waszéj postawy i ze słów waszych, lubo król jegomość ma niewątpliwe do księstwa prawo i pragnie wam wszystkim w niém mieszkającym łaskę swą przychylić, zachować was przy prawach i wolnościach, byleście tylko z dobréj woli to uczynili, co uczynić powinni jesteście i co uczynić wam poleca król, jako prawdziwy i prawowity już pan oraz dziedzic tego księstwa. Skoro jednak opieracie się sprawić żądany pogrzeb, nie wyłuszczymy wam drugiéj części naszych zleceń, lecz oznajmiemy królowi jegomości tę waszą wolę, tak przeciwną jego rozkazom, a co potém tu czynić wypadnie, to w téj mierze na dalszą króla naukę czekać będziemy i o skutkach zawiadomić was nie omieszkamy.

Odzywały się jeszcze różne głosy. Wracano do tego samego przedmiotu. Ten jedno, ów drugie mówił. Ugłaskały się nieco umysły. Dyplomaci królewscy przytaczali swoje racye, szlachta odpierała je po swojemu, ale jedna i druga strona przekonać się nie dała. Tyle tylko posłowie królewscy wskórali swojém oględném i spokojném zachowaniem, że się zbytnio nie rozkołysały fale chwilowego wzburzenia.

Po jednodniowéj wtorkowéj przerwie, którą w zamku książęcym poświęcono przygotowaniu urzędowéj odpowiedzi, przywołano w d. 2 maja we środę, posłów królewskich przed oblicze księżnéj.

Podkanclerzy, jak się zdaje, zagaił do nich rzecz w te słowa:

— Wielebny księże biskupie, wielmożny

kasztelanie! Oświecona pani księżna nasza składa najwyższe dzięki jegomość królowi, że raczył przez was, swoje rady, łaskawie ją nawiedzić i pocieszyć, jako najłaskawszy pan, król, opiekun i ojciec córki swéj, za którą to łaskę osierocona księżna nietylko jako córka, ale jako pokorna i uniżona służebnica i sierota, wysługiwać się królowi jegomości wszelkiemi sposobami usiłować będzie, a zwłaszcza gorącemi swemi modłami do Boga wszechmogącego, w którym przedewszystkiém a potém w świętym majestacie króla, jako w opiekunie i ojcu najdobrotliwszym, całą swą ufność położyła. I dlatego za pośrednictwem waszém, miłościwe pany, księżna oświecona prosi, aby jego królewska mość zechciał dobrotliwym to znieść umysłem i bez żadnéj obrazy, że nie dopełniła pochowania zwłok brata, na uczczenie którego to obrzędu wasze łaskawości przysłać raczył, dla powodów, jakie już obficie wyłuszczone były, a głównie zaś, jak sami widzicie, dla nadwątlonego zdrowia oświeconéj księżnéj. Niech jego królewska mość, jako najżyczliwszy opiekun nie odtrąca jéj oświeconéj mości, jako córki od dziedzictwa naturalnego i od ojcowizny, ale ją łaskawie przy słusznem objęciu spadku zachowa, jak w podobnych wypadkach inne córki w księstwie ma-

zowieckiém zachowane były. Raczcie i wy, łaskawości wasze, przyczynić się o to do króla najmiłościwszego, albowiem dobrego ojca i opiekuna rzeczą jest córkę swę zarówno osłaniać, jak zachowywać we wszelkim dalszym i pomyślnym dla niéj stanie. W téj to sprawie oświecona księżna wyprawia swych posłów, których raczcie z serca zalecić, a wam zaś, łaskawości wasze, zdrowia i wszego dobrego życzy.

Po téj uroczystéj odpowiedzi, po tém pożegnaniu, obaj posłowie opuściwszy zamek, wrócili do gospody i niebawem zawiadomili piśmiennie króla o wszystkiém, co zaszło; pilnując sprawy sobie poruczonéj, nie sądzili atoli, aby wypadało śpieszyć natychmiast do Gdańska lub Malborga, gdzie Zygmunt bawił. Postanowili więc pomimo danéj im odprawy zostać w Warszawie, czekać dalszych zleceń. Tymczasem zaś jako prawdziwi dyplomaci nie zalegali pola. Wiele, co prawda, wskórać nie mogli, bo opatrzenie na drogę, jakie od króla otrzymali, było szczupłe i prędko się wyczerpało. Zresztą i złotoby nie pomogło wobec szczerego niekłamanego zapału, jaki zapanował dla księżnéj w sercach mazurskich. Ale tu i owdzie jednak zasięgali języka, badali usposobienie i jak mogli, jednali dla króla życzliwość. Ten i ów w ta-

jemnicy zwierzył się im ze swemi myślami. Inni jawnie i otwarcie wypowiadali swe zdania, powtarzając pogłoski, które obiegały po mieście. Może one podstawy nie miały, w każdym jednak razie były obrazem i znamieniem téj ciekawéj chwili.

Mówiono, czemu atoli posłowie nie zupełnie dawali wiarę, że, jak tylko oni opuszczą miasto, szlachta zabierze się do obwarowania Warszawy, uprosi księżnę, żeby porzuciła zamek, przeniosła się gdzieindziej i wtedy zamknie bramy miejskie, nikogo nie wpuści. Doroczny jarmark warszawski będzie odwołany. Miasto zamieni się na wielki obóz. Szlachta wyjdzie w pole, włoży szyszaki i pancerze, przypasze miecze i stanie murem. Niech o piersi stalowe złamią się wszelkie zapędy gwałtu, jeżeliby kto chciał siłą i przemocą zdobywać siedzibę książąt mazowieckich.

Bujna, podniecona wyobraźnia mogła wiele podobnych snuć pomysłów i przywidzenia brać za rzeczywistość.

Dyplomaci królewscy słusznie nie przywiązywali zbytniego znaczenia do wieści, rozsiewanych przez niedoszłych Leonidasów mazowieckich, bo wiedzieli, że łagodny, powolny i oględny pan ich i władca bratobójczą walką nie za-

grozi Mazowszu. Więcéj w ich oczach wagi miały nie pogłoski lub czcze przechwałki, lecz pobudki i zasady, na których poważniejsi ze szlachty się opiérając, zachęcali księżnę do bronienia mniemanych praw spadkowych. Na sejmie na zamku książęcym słyszeli tylko, że zachodzi wątpliwość co do słuszności uroszczeń królewskich. W rozstrząsanie téj sprawy publiczne wdawać się nie mogli, ale radzi byli słyszéć prywatnie, jak rada książęca, jak dostojnicy i posłowie rozumieli i pojmowali istotę sporu, który był wszczęty co do rzekomego prawa księżnéj zatrzymania przy sobie dziedzictwa. W odpowiedzi, danéj im na zamku, słyszeli tylko o prawie naturalném, jakie rościła księżna do ojcowizny. Wzmiankowano poprzednio o prawie boskiém. Jakiemiż rządzono się w téj mierze zasadami?

Cała szlachta, jak im się wyrozumiéć udało, była tego zdania, że król i Korona żadnego zwierzchniego prawa nad księstwem mazowieckiém nie mają, że Mazowsze nigdy lenném nie było, że zawsze od wieków dziedziczném prawem posiadaném było przez książąt, że cieszyło się ciągłą, nieprzerwaną wolnością i niezależnością.

Był to punkt zasadniczy, — pierwsze, pierwotne, niezamącone źródło.

Jeżeli zaś, tak twierdziło rycerstwo mazowieckie, książęta w układy piśmienne wchodzili z królami polskimi i oddawali im swe niezależne ziemie pod zwierzchnią władzę, to dlatego, że przemocą tego żądała Korona [1]). Jeżeli jednak takie zawierali umowy jako książęta, to nie mogli szlachty, zaszczycającéj się wolnością, oddawać w lenno bez jéj wyraźnego upoważnienia i zgody [2]). Zresztą, sprawa ta nigdy słusznemu i sprawiedliwemu nie podlegała roztrząsaniu, bo ci, którzy ją niegdyś rozsądzali, nie byli co do rodowitości i co do prawa równymi, jakimi byli być powinni.

Te rozumowania i wywody, które prawdopodobnie stanowiły główną osnowę rozpraw złożonego wówczas sejmu, rozszerzały podstawę prawnych uroszczeń zarówno księżnéj do władzy, jak szlachty do udzielności Mazowsza. Przebieg obrad w tym względzie nie jest nam

[1]) Miano tu na myśli postępowanie króla Olbrachta względem księcia Konrada, który pod naciskiem silnéj woli królewskiéj, nietylko uznał się lennikiem, ale przyjął dość mocno krępujące go warunki pod względem wewnętrznego zarządu, wybierania poborów, podatków i t. p. (Kod. dypl. ks. Mazow., str. 305, N. CCLXI, r. 1496).

[2]) Nastąpiło zezwolenie w myśl zobowiązania się piśmiennego, danego królowi polskiemu przez Konrada w 1497 r. (Tamże, str. 314).

zupełnie znany. Nie wiadomo, jakie zapadły uchwały. To tylko jest pewném, że sejm po tygodniu się rozszedł i że zwołany był nowy, czyli drugi z rzędu, na połowę maja do Zakroczymia, bynajmniéj jednak nie dlatego, iżby ten pierwszy upłynął jałowo.

Owszem, wydał on jeden szczególniéj dla księżnéj pożądany owoc. Jeżeli Anna nieśmiało zrazu stawiała kroki na chwiejnéj drodze do tronu i władzy, to teraz stanęła na pewniejszym gruncie. Szlachta uznała ją jako dziedziczkę, uświęciła swą zgodą jéj prawa do księstwa i poszła daléj. Rozgrzały się jéj serca, ramię przystało do ramienia, zespoliły się umysły, jeden z ich rycerskich piersi, niby z wulkanu gorący wydobył się okrzyk uczucia — umrzéć za księżnę. Księżna z otuchą téż mogła spoglądać w przyszłość, skoro jéj sprawa szczególna spłynęła w jedno ze sprawą ogólną i nierozerwaném z nią spoiła się ogniwem.

Atoli wśród tego pogodniejszego brzasku, jaki w oddali przyświecać zaczął osieroconéj dziedziczce Piastów, przesuwały się jeszcze gęste cienie ponuréj rzeczywistości.

Na marach spoczywały zwłoki brata. Pokryło je chwilowo wieko trumny, osłoniętéj żałobném czechłem. Daremnie znikome szczątki

ciała czekały od tylu tygodni chwili, w jakiéj się zanurzą w ciemnościach grobu i ustąpią z widowni świata, dla którego chyba potrzebnemi nie były.

Wszak czas pogrzebu wskazany przez króla już minął. Rygor przymusu zwolniał. Odzyskano żądaną swobodę. Więc czemuż zwlekano?

— Nie masz pieniędzy, mówiono zrazu posłom królewskim. Nie było za co sprawić pogrzebu. Istotnie, w skarbcu wory i skrzynie świeciły strasznemi pustkami. O grosz gotowy było niezmiernie trudno, aleź nie było łatwiéj w miesiąc, w dwa, w trzy i w cztery miesiące późniéj. Przez cały ten czas zmarły książę nie mógł się doczekać pogrzebu. Czyżby w rzeczy saméj już się nawet Mazowsze całe zdobyć nie mogło na zebranie trochę grosza dla oddania ostatniéj posługi zgasłemu swemu panu? Nie ta widocznie była długiego ociągania się przyczyna.

— Siostra z Węgier nie przybywa, nadmieniano, usprawiedliwiając opóźnienie pogrzebu. Ależ przez ten czas nietylko z za Karpat, ale i z Włoch samych można było zdążyć do Warszawy. Wszak i późniéj nie stawiła się księżna Zofia. Może wcale przybyć nie zamierzała

wśród ciężkich swych domowych okoliczności. Wiedziano prawdopodobnie o tém.

Więc i ten powód płonnym być się zdawał.

— Księżna znękana i zbolała, taką otrzymali wreszcie odpowiedź posłowie królewscy na ostatniém posłuchaniu, nie ma dostatecznych sił i zdrowia, i to za najprzedniejszą podawano przyczynę nastąpionéj zwłoki. Ale od owego czasu upłynęły znów tygodnie i całe miesiące, księżna odbywała podróże, składała sejmy, sprawowała rządy i tylko dla odbycia pogrzebu jakoś sposobnego zdrowia nie starczyło.

Inne podobno, smutniejsze nad te wszystkie razem przytoczone powody leżały na dnie téj ciemnéj sprawy, która takim ołowianym ciężarem przygniatała duszę księżnéj i ponurym cieniem mroczyła rozpogadzające się jéj widoki na przyszłość.

Głucha wieść zrazu obiegła z ust do ust, a niebawem w głośny zamieniła się rumor, że książę Janusz nie zeszedł ze świata naturalną śmiercią. Różni różne podawali przyczyny i okoliczności. Prostaczym umysłom owego wieku nie wydało się prawdopodobném, aby 24-letni książę, który podobno atletyczną odznaczał się budową, rwał postronki w ręku, żelazne łamał podkowy, dał się zmódz zwykłéj chorobie. Wieść

gminna niosła, jakoby nawet miał podwójną kość pacierzową, i dlatego takim był siłaczem. Więc nie mógł być powalonym przez śmierć powszednią.

Od trucizny umarł... Dla głów łatwowiernych pajęcze domysły stawały się prawdą niezbitą. Romantyczne przygody jak wątek wzorzystéj materyi wplotły się w osnowę opowieści utkanéj ze szczegółów dworskich plotek. Napomykano o różnych sprawcach zbrodni. Coraz innych, a coraz liczniejszych wskazywano. Główną jednak sprężyną w téj gęstéj sieci zbrodniczéj intrygi miała być córka wojewody płockiego, Katarzyna Radziejowska, zamieszkała w rawskiéj ziemi, po za granicami księstwa mazowieckiego.

Gniazdo trucicieli miało się więc, według mniemania powszechnego, znajdować w Koronie. Dosięgnąć ich, jako pod obcą zostających władzą, było niepodobném. W tém właśnie, tak mówiono na ucho posłom królewskim, tkwi główna przyczyna zwłoki pogrzebu. „Porąbać się damy wszyscy w kawałki, tak oświadczała szlachta mazurska wobec dyplomatów króla Zygmuntu i nie zezwolimy na pogrzeb, dopóki słusznéj a najwyższéj kary nie odniosą sprawcy zbrodni. W Koronie schwytani nawet na go-

rącym uczynku złoczyńcy, zwykli uchodzić kaźni, bo tam chętnie płazem puszczają złe uczynki, gdy te pewnym dogadzają osobom..."

Jeżeli takie istotnie w szlachcie przeważało mniemanie, jak o niéj królowi donoszą posłowie, a podawać słów ich w wątpliwość nie masz powodu, to sprawa pogrzebu mogła była długo czekać załatwienia. Wykryć mniemanych trucicieli, wymierzyć na nich sprawiedliwość, jeżeli wogóle śladem wskazanym przez niepewne pogłoski dotrzéć było można do źródła prawdy, było rzeczą zapewne nie łatwą, a w każdym razie przewlekłą. Księżna wraz ze swymi panami radami, może ulegając sile głosu powszechnego, nie zdołała oprzéć się jawnéj przeciwko Koronie niechęci, widocznie jednak utrudniać nie chciała swego względem króla stanowiska. Więc pod pozorem niesposobnego zdrowia swego—do dalszéj pory rzecz odłożyła.

Janusza zwłoki pozostały tedy na miejscu. Stérczały na oczach wszystkich widome szczątki, jak gdyby wlewać miały w serca Mazowszan tę błogą otuchę, że wraz z niepogrzebioném ciałem zgasłego władcy, niepogrzebioną żyje jeszcze udzielność ich księstwa.

Od czasu do czasu tylko uchylała żałobnego całunu ręka powołanych w téj sprawie

lekarzy. Posłowie królewscy czterech widzieli, w ich liczbie doktora Jakóba, którego przysłał od siebie prymas arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski. Co owi „fizykowie" uradzili, jak się ze swego trudnego wywiązali zadania, tego albo w swéj tajemniczości nie ujawnili, albo delfickich kapłanów naśladując przykład, dwuznacznemu wykładowi otworzyli szerokie wrota.

Królewscy posłowie właśnie jakby wobec pytyjskiéj znaleźli się odpowiedzi.

IV.

WSPÓŁZAWODNICY.

W Gdańsku, gdzie w tym czasie bawił król Zygmunt, który w swém ręku przyszłe losy Mazowsza dzierżył, było również, choć z innych powodów, gwarno jak w Warszawie. Tam zburzono kościoły, zgwałcono starą wiarę, wygnano plebany. Tłuszcza miejska złożyła z urzędu swych starszych i nowe ustanowiła porządki. Przywróceniem powagi zarówno kościelnéj, jak i świeckiéj zaprzątniony był król ustawicznie, chcąc przygasić płomienie sekciarstwa, które mogły ogarnąć sąsiednie ziemie Korony polskiéj. Tą ważną zajęty sprawą, nie mógł porzucić gorejącego ogniska, nie stłumiwszy wprzód zarzewia i śpieszyć na Mazowsze, aby osobiście popierać swoje prawa oraz księstwo objąć ostatecznie w posiadanie.

Przy swojém atoli stał mocno i niewzruszenie. Nie odmieniły jego umysłu ani piśmien-

ne, ani ustne relacye posłów. Ani go zmiękczały błagalne listy, które odbiérał od osieroconéj księżnéj. Jak raz się zgłosił ze swemi zwierzchniemi prawami do lennéj puścizny mazowieckiéj, uznawszy je za wyższe po nad wszelką wątpliwość, tak nie zachwiał się na chwilę w swém niezłomném przekonaniu, pomimo powoływania się przeciwników na prawo boskie i naturalne. O sądach rozjemczych, jakie ojciec jego, Kazimierz, ustanawiał w podobnym sporze o ziemię rawską i gostyńską, które już wcześniéj przypadły Koronie, nie myślał, zdaje się, zupełnie.

Kunktatorskiéj jął się polityki. Nie wymknie mu się, tak mniemał, Mazowsze. Pilniejsza sprawa gdańska, sprawy pruskie wogóle. Powoli czas ostudzi gorące zapały Mazurów, a zmrożony owoc łatwiéj z drzewa spadnie. W prawdzie po ten owoc sięgała i inna jeszcze poważna ręka z dalekich nawet Węgier, ale na nią bez obawy, spokojniéj nawet niż na uroszczenia księżnéj Anny mógł spoglądać.

Zofia na pogrzéb brata nie przybyła, lecz nie omieszkała zgłosić się do spadku. Wszak jeśli młodsza siostra takie usilne czyniła starania o utrzymanie się przy ojcowiźnie, to starszéj równeż mogło przysługiwać prawo. I tém

silniéj zaczęła popierać swe uroszczenia, ile że naturalnego miała opiekuna w osobie swego męża, pierwszego wojewody węgierskiego, wielkiego magnata i najwyższego w przybranéj ojczyznie dostojnika.

Zofia od czasu swego zamążpójścia, podobnież jak i siostra Anna, nie spoczywała na różach. Dzieląc z małżonkiem zmienne losy, przechodziła burzliwe koleje. Poślubiła Stefana Batorego za staraniem i namową Zygmunta, który wywiązać się starał ze swych obowiązków opieki jak najlepiéj, choć nie bez widoków politycznych, oddając Piastównę najpierwszemu po królu dostojnikowi. Ale zaledwie w 1523 roku czas niejaki upłynął po godach weselnych, zawiała na Węgrzech zawierucha domowa, wśród któréj Batory padł ofiarą anarchicznych ruchów: wyzuto go z urzędu, pozbawiono majętności. Zofia ze łzawém błaganiem udała się do króla polskiego o ratunek. Żyli jeszcze wtedy obaj bracia, Stanisław i Janusz. Ich usilne prośby sprawiły u Zygmunta, że się powagą swoją wstawił do króla Ludwika węgierskiego. Stefan Batory wrócił znów do swojéj godności. Nie długo się jednak nią cieszył. Wezbrały ponownie przeciwko niemu fale niezadowolenia i mąż Zofii po raz wtóry strącony został z wyso-

kiego swego stanowiska. Więc gońce, więc listy do króla Zygmunta, błagania o pomoc w téj smutnéj przygodzie. Na domiar nieszczęcia, nadciągała straszna nawałnica turecka, która jeszcze sroższą groziła klęską. W tém nastąpiła śmierć bezpotomnego Janusza. Otworzył się spadek po bracie. A nuż wśród tych zmiennych i niejasnych kolei losu na Węgrzech, trwalsze znajdą się podstawy ugruntowania przyszłości na Mazowszu?

Anna więc spotkała współzawodników w osobie starszéj siostry i jéj męża.

W chwili gdy obradował w Warszawie sejm mazowiecki i gdy rycerstwo oświadczało, że praw swéj księżny aż do ostatniéj kropli krwi bronić będzie, jednocześnie odbywał się w dniu pierwszym maja zjazd powszechny w Budzyniu, na którym również przedmiotem rozpraw stało się dziedzictwo piastowskie. Tylko tam prędzéj rzecz załatwiono. Król, prałaci, baronowie i szlachta postanowili wysłać do Gdańska poselstwo z prośbą, aby władca korony polskiéj, który tak skuteczną opieką dotychczas osłaniał księżnę Zofię i jéj męża, nadal wobec otwierającego się spadku słuszny miał wzgląd na prawa pozostałéj przy życiu starszéj z żeńskiéj linii latorośli piastowskiego rodu. Piśmiennie wyrażono tylko taką ogólną prośbę, ustnie zaś miał poseł, Jan Statyliusz, proboszcz budzyński, który sprawował poselstwo, szczegółowiéj rzecz tę wyłuszczyć. Nie ulega wątpliwości, że chodziło tu o zalecenie Batorego wraz z żoną do opróżnionego na Mazowszu tronu. W kilka tygodni późniéj, bo już w lipcu, ponownie król Ludwik wraca do téj saméj sprawy i w liście wprost do Zygmunta, swego stryja, pisanym, zanosi gorącą i już nie dwuznaczną prośbę, aby obie siostry, zarówno starsza jak i młodsza, przy władzy w księstwie mazowieckiém mogły być zachowane. Zapewnia przytém, że księżne, idąc torem swych przodków, dochowają królowi i Koronie wiary we wszystkiém wraz ze swém potomstwem. „Nic właściwszego, nic godniejszego pochwały, — są słowa tego serdecznego pisma, jak gdy Wasza Królewska Mość w całości utrzymasz ten świetny od lat tylu i przesławny szczep mazowiecki." Gdyby zaś, dodał w końcu listu, król miał pewne skrupuły, niechby na jego szczególniejsze prośby rzecz tę odłożył do najbliższego sejmu, na którym by roztrząśnięto, jakieby téż prawa do dziedzictwa Zofii i Annie służyły.

Ani jedno, ani drugie wstawiennictwo nie odniosło skutku. Nie wzruszały Zygmunta ani

listy króla, ani prośby stanów korony św. Szczepana. Stał on przy swojém prawie mocno i niezachwianie. Nim nadszedł drugi list Ludwika węgierskiego, już w połowie czerwca dał król polski stanowczą odprawę pierwszemu poselstwu, które sprawował Statyliusz z Budzynia. Wyłuszczone w niéj zasady stanowiły i nadal przewodnią myśl nieugiętéj jego polityki względem puścizny mazowieckiéj.

Zygmunt, opiérając się na wywodach historycznych, utrzymywał, że księstwo mazowieckie zawsze stanowiło część ogólnego ciała polskiego i od samego początku było w posiadaniu książąt, nie jako ich własność samoistna, ale jako lenna ziemia, i że poprzednio już w XV-ym wieku na zasadzie prawa lennego wcielone były do Korony dzielnice mazowieckie: ziemia rawska, sochaczewska, gostyńska, płocka i wizka; że nadto prawo lenne, stosowane w Mazowszu, takiemu nawet podlegało ograniczeniu, iż bezpotomni bracia nie mogli wzajem po sobie dziedziczyć. Tylko w drodze łaski uczyniono wyjątek w roku 1504-ym na rzecz dwóch ostatnio zmarłych książąt. O siostrach zaś w układzie z pomienionego roku żadnéj nie było wzmianki, jako tém mniéj, niżeli męska linia, praw mających. Od zasadniczych więc

praw ani w swojém, ani w imieniu Korony odstępować nie może i odstępować nie zamyśla. Ulegając wszakże, jak nadmienić kazał posłowi króla Ludwika węgierskiego i królowéj zaleceniom, tudzież prośbom panów węgierskich i życzeniom wojewody Stefana—w załatwieniu sprawy dziedzictwa kierować się będzie łaską i względnością, a co z tego tytułu bez obrazy praw Korony uczynić zdoła na rzecz księżnéj Zofii oraz Anny, tego uczynić nie zaniecha.

O tę ostrą, twardą jak skała, stanowczość Zygmunta, rozbiły się więc zabiegi z za Karpat czynione. Nie skruszyła téż twardego jego serca ostatnia jeszcze błagalna prośba Zofii, przesłana już w połowie sierpnia, prawie w przededniu téj wielkiéj klęski na polach Mohaczu, gdzie w kwiecie wieku zginął młody król Ludwik i gdzie pod mieczem tureckim legło czoło magnatów i szlachty węgierskiéj. Jakby w przeczuciu tego strasznego pogromu, księżna Zofia zdjęta obawą o przyszłe niepewne losy, przemawia w liście do uczucia króla, ojca, opiekuna. Wśród zawieruchy wojennéj mąż jéj może zginąć, dziki wróg z domu ją wyrzuci. Gdzież wtedy głowę sierocą skłoni? Czyliż z jedynym synkiem pod cudzą strzechą na obcéj ziemi szukać jéj przytułku, gdy jest własna na Mazowszu ojcowizna?...

Również nieugiętym okazał się król polski i wobec zabiegów zbliska czynionych, wobec próśb i błagań, które nie z Węgier, ale z Mazowsza do niego zanosiła Anna.

V.

KŁOPOTY PUBLICZNE I DOMOWE.



Zawróćmy do dziejów jéj smutnego żywota i do kłopotliwych jéj rządów, które w ciągu kilku miesięcy piastowała, dzięki sprawom, jakie na czas dłuższy w Prusiech uwięziły Zygmunta i nie pozwoliły mu wcześniéj niżby przypuszczać należało, przystąpić do objęcia spadku mazowieckiego.

W końcu maja złożyła księżna Anna drugi z rzędu sejm w Zakroczymiu, w cztery tygodnie późniéj trzeci w Warszawie. Potrzeba tych obu zjazdów, tak prędko następujących po sobie, objaśnia się ważnością i doniosłością chwili. Gruba zasłona, uchylająca się tylko przygodnie i nieznacznie, pokrywa dzieje tego sejmowania. Ani rozprawy nie są nam znane, ani uchwały, które na nich zapadły. Z pewnych tylko a wyraźnych wskazówek widać, że myśl bronienia

księżnéj, oraz samodzielności swojéj, żyła wśród szlachty, chociaż może zapał pierwotny powoli ostygał i gorączkowe rwanie się do czynnego i zbrojnego oporu słabło. Czas, na którego działanie liczył nie bez zasady król Zygmunt, sprawiał swoje. Zapewnie nie zalegała pola i prywatna jego dyplomacya, czyniąc tajemne zabiegi o jednanie sobie serc wyższéj i niższéj szlachty.

Poprzéć skutecznie swoje usiłowania w przeciwnym królewskiéj polityce kierunku, a więc szafować hojnie świetnemi obietnicami, obsypywać łaską dostojników, rozdawać bogate starostwa, szczodrą otwierać rękę, tych środków księżna Anna dla swoich widoków używać nie potrafiła, bo nie mogła.

Nie było z czego.

W spadku po Januszu brała puste skrzynie i szkatuły w skarbcu, znaczne długi, dobra stołu książęcego w zastawach obrane z dochodów bieżących, pożytki z czynszów, z ceł, z mostowego i innych źródeł sprzedane, jak zielone niedostałe zboże na poczet przyszłości. Smutna gospodarka lat ostatnich sprowadziła taki stan zubożenia i znędznienia, choć przecież samo Mazowsze jako dzielnica, nie było tak szczupłe ani tak biedne. Piotr Kmita, marszałek, piszący do

królowéj Bony z Gdańska, w czasie toczącego się właśnie sporu o spuściznę mazowiecką, zachwala to księstwo, jako bynajmniéj nie małe i wzgardzenia godne. W granicach, w jakich je dzierżył zmarły Janusz, obejmowało Mazowsze 409 mil kwadratowych. Na jego powierzchni mieściło się z górą 60 miast i miasteczek, w téj liczbie ludna, handlowna i dość zamożna Warszawa. Wsi było także w niém niemało, stosunkowo więcéj niż gdzieindziéj w innych częściach ówczesnéj Polski. Mogłeś ich co najmniéj cztery tysiące narachować. A ludności zabiegłéj, pracowitéj, całe mrowiska. Nigdzie tyle warunków sprzyjających rozradzaniu się głów jak na Mazowszu. Drobna, na samoistne zagrody pokrajana własność ziemska, żywiła setki tysięcy Mazurów. Za księżnéj Anny mogło było być pod jéj władzą około 350,000 mieszkańców. A rok rocznie jeszcze rojne tłumy, jak z ulów wychodziły po za granice rodzinnéj ziemi. Więc było z czego pożytki ciągnąć, było z czego stół książęcy opatrzéć, zwłaszcza gdy mu z pomocą szły dochody z dwustu wiosek, które do różnych starostw i kluczy należąc, stanowiły niejako osobistą własność książąt. A jednak przy objęciu władzy, spadły na ostatnią dziedziczkę Piastów kłopoty niemałe.

Zaledwie zamknął powieki Janusz, aliści zewsząd zaczęła się tłoczyć ciżba sług, dworzan, oficyalistów, kupców, rzemieślników i wierzycieli. Jedni domagali się swych zasług oddawna nieuiszczonych, inni natarczywie prosili o zwrot należności. Ci przychodzili, powołując się na ustne zmarłego zobowiązania, owi występowali z piśmiennémi dowody, czyli z cedułami. Jedne długi zaciągnięte były przez samego Janusza, inne pochodziły jeszcze od brata i od matki. Kupcom było się winno za towary, za materye, za wina; aptekarzom za leki, korzenie, łakocie i specyały. U wielu mieszczan znajdowały się kwitki na sumy wzięte gotówką. Żeby choć w części zaspokoić najpilniejsze potrzeby i uwolnić się na razie od najprzykrzejszych swych wierzycieli, zaciągnęła Anna pożyczkę, w ilości dwustu kóp groszy, od kanonika Jana Wojsławskiego, pisarza ziemi łomżyńskiéj i zabezpieczyła mu tę kwotę na dochodach z miasta Ostrołęki, które już poprzednio był mu zastawił w pewnéj sumie zmarły Janusz. Na cedule w dniu 28 marca, więc w niespełna trzy tygodnie po zgonie brata, położyła księżna swój podpis, jedyny, jaki się dochował ślad jéj ręki, który też z tego względu, jako miłą pamiątkę, podajemy w przerysie obok.

(ANNA KXASZNA MAZOWESKA)

podpis z r. 1526, dyplomat Archiwum Głównego.

Dwieście kóp groszy, było zaiste nie mało. Przedstawiały one wartość, za którą można było w owym czasie kupić mniéj więcéj około trzech tysięcy korcy żyta. Ale snadź utonęły jak kropla w morzu, skoro wkrótce potém zebrała się rada książęca i rozejrzawszy się w ogromie długów, upoważniła aktem piśmiennym (10 kwietnia 1526 roku), księżnę Annę do zastawiania wogóle dóbr stołu książęcego, celem zaspokojenia sług, dworzan i wierzycieli. Gotowizny w skarbcu, jak opiewa powyższa uchwała, nie znaleziono zgoła. Rzecz ta zresztą była wszystkim i nam jest wiadomą. Rada książęca dała więc księżnie władzę zaciągania pożyczek, gdzieby tylko mogła. Upoważniła ją nadto do układania się z dawniejszymi wierzycielami, aby pewne od nich zyskać ustępstwa. Wobec atoli wcześniejszych już zobowiązań, zapisów, które w długim szeregu obciążały dobra stołowe, nie tak łatwo było zapewnić téj uchwale skuteczne wykonanie. Chętnych, coby grosz swój na téj niepewnéj hypotece umieścić pragnęli, znalazło się bardzo niewielu. Takiéj góry Atlasu, jaką przedstawiały długi książęce, dźwignąć na swych barkach nie potrafiła Anna. Nie mógł odrazu ciężarom podołać i późniéj sam król Zygmunt.

Więc było krucho, kłopotliwie. Rwało się i nie starczyło nawet na opędzenie codziennych a gwałtownych potrzeb. Kiedy na ostatnim sejmie, który Anna złożyła w Warszawie w końcu czerwca, postanowioném było, o ile się zdaje, aby się księżna udała osobiście do króla, kiedy z Gdańska wracać będzie, aby go błagała, iżby Mazowsza nie nawiedzał, to zaszła potrzeba zebrania grosza na tę tak niedaleką podróż. Uchwalono więc niejaki podatek, który włożono głównie na miasta i miasteczka, tudzież na wioski stołu książęcego, o ile się zdaje, tylko w ziemi łomżyńskiéj, po 6 groszy z włóki, po 12 z wójtostw, z młynarzy, karczmarzy, z pominięciem wszakże zagrodników. Jaki tam z téj „kontrybucyi“ plon był spodziéwany — niewiadomo. Ale w każdym razie Anna gorąco wzdychała do téj pomocy pieniężnéj. „Udaj się do tych miast i wsi, — pisze księżna do poborcy, który się wybraniem podatku miał zająć, — zgromadź wszystkich i wyłuszcz im tę potrzebę nietylko naszę ale całego księstwa. Wszak to o wolność pospolitą chodzi. Przełóż im to i w naszém imieniu proś ich pięknie, chciéj skłonić, aby w ręce twe złożyli na dzień św. Małgorzaty (13 lipca) żądany pobór, który nam bez zwłoki odnieść nieomieszkasz“.

Kto takiemi słowy przemawiał do poborcy, ten zaiste w ciężkiéj musiał być potrzebie.

Świądczą o niéj wymownie i te skromne ofiary, jakie w ciągu kilkomiesięcznych rządów składała księżna, czyniąc zadość swemu uczuciu pobożności. Jéj gorąca wiara, jéj głęboki duch religijny byłyby wymagały szczodréj bardzo ręki, aby wznosić ołtarze, budować kościoły, uposażać szpitale i zalecać częstym modłom dusze braci, matki, ojca i dziadów. Ale na to, jak na wiele innych potrzeb nie starczyło grosza. Więc w naturze wypadło składać różne ofiary na rzecz różnych kościołów. Misyonarze kościoła kolegiackiego św. Jana, oraz książęcéj kaplicy, pod wezwaniem Wniebowzięcia Panny Maryi, otrzymali w darze kawał ziemi, wykrajany z folwarczku książęcego przy drodze, która prowadziła od bramy miejskiéj do kaplicy św. Krzyża. Miała księżna na myśli uczcić tym sposobem pamięć starszego brata Stanisława, który umarł właśnie w domu misyonarzy przy kolegiacie. Wikaryuszom tegoż kościoła dostał się przyległy grunt przy téjże drodze, ofiarowany im przez księżnę, ku zbawieniu jéj duszy, oraz zmarłych braci i rodziców. Kapelan kaplicy św. Krzyża otrzymał klin ziemi, przytykający do ogrodu i cmentarza kościelnego,

a drugi tuż obok sąsiedni pas gruntu folwarcznego otrzymał klasztor XX. Augustyanów, św. Marcina. W podobny sposób czyniła Anna pobożne a drobne zapisy na rzecz innych kościołów w Latowiczu, w Rożanie, w Wąsoszu...

Przy téj sposobności, kiedy pokrajanemi na cząstki gruntami podmiejskiemi Warszawy szafowano na rzecz duchowieństwa, brali także po kawałku z nich wierzyciele, na tymczasowe zaspokojenie należności. Aptekarz Andrzéj dostał płat ziemi ornéj, drugi aptekarz Piotr również, podobnież i szewc nadworny. Kucharz książęcy, Jan Czech, zwany Janem, wziął ogródek na przedmieściu i postanowił tam, za zezwoleniem księżnéj, założyć „austeryą" t. j. zajazd, czyli „publiczny gościniec". Lutnista Janusza, Mikołaj Barzy, opatrzony został włóką ziemi, ale nie pod Warszawą, lecz daleko aż w Ciechanowskiém.

Dostojnicy wcale się nie pożywili łaską książęcą. Nic na nich spaść nie mogło. Ten i ów ze średniego rycerstwa jakieś niewielkie wyjednał sobie względy. Niejaki Zwolski otrzymał prawo zamienienia swéj wsi dziedzicznéj w czerskim powiecie, od któréj wziął nazwisko, na miasteczko. Miało się ono zwać Kalaboną. Zdaje się, że ten sławny gród nigdy nie ujrzał

światła bożego. Przynajmniéj nigdzie o nim nie słychać. Zyskał także pan Zwolski przywiléj na zbudowanie w swéj wiosce warownéj „ćwierdzy" z wieżami, basztami i mostami zwodzonemi, „ku osłanianiu i zachowaniu swego żywota". Ale zapewne tego zaniechał, bo się prędko wypogodziło i już się na zawieruchę nie miało.

Tylko szlachta ogółem jednę powszechną otrzymała od księżnéj łaskę, o którą na sejmie zakroczymskim, w maju, usilnie prosili posłowie mazowieccy. Szło im mianowicie o to, aby był zniesiony z poprzedniego roku statut Janusza, który zapomocą bardzo surowych kar, chciał powściągnąć mnożące się zabójstwa, najazdy i gwałty. Księżna, ulegając życzeniu i naleganiu, uchyliła wraz z radą i posłami szlachty ostre prawo, z niewielkiemi tylko wyjątkami i poprawkami. (Stat. z r. 1526, d. 26 maja).

Ale ustępstwami tylko — nie wiele wskórać było można. Zamierzona podróż do króla nie przyszła, jak się zdaje, do skutku. Przez cały lipiec księżna bawi w Warszawie. Tu także spędza dzień swojéj patronki.

Na schyłku owego miesiąca, już Zygmunt Gdańsk porzuca i przez Malborg, Grudziądz i Toruń śpieszy na Kujawy. Księżna po da-

wnemu gości na zamku warszawskim. Tu ją także zastajemy, gdy król około połowy sierpnia (12-go), już się na progu księstwa ukazał, zatrzymawszy się na całe niemal dwa tygodnie w Sochaczewie, gdzie ten dość długi czas pobytu, przed wkroczeniem do Mazowsza, strawił na przedwstępnych przygotowaniach Otacza go liczny poczet wysokich dostojników, zarówno duchownych jak i świeckich. Toworzyszą mu: Tomicki, podkanclerzy, biskup krakowski, Andrzej Krzycki, przemyski, oraz Wojciech Miedzyleski, biskup kamieniecki, znany nam już z czasów piérwszego do księżnéj Anny poselstwa. Do tego grona dygnitarzy należy wojewoda Szydłowiecki, kanclerz koronny, Andrzej Oporowski, wojewoda brzeski, Mikołaj Szydłowiecki, podskarbi; kasztelanowie różni, a w ich liczbie Stanisław ze Sprowy Odrowąż, kasztelan biecki i starosta opoczyński. Wojska król nie prowadził. Miał tylko za osłonę dla siebie— prawo wyższe.

Szlachta mazowiecka nie stanęła przeciwko niemu murem i krwi swéj za księżnę nie przelewała. I słusznie całkiem. Bo Anna nie chciała snadź toczyć bratobójczéj walki.

Nie uzbrojono Warszawy. Otworzono bramy miasta, gdy w dniu 25 sierpnia 1526 roku

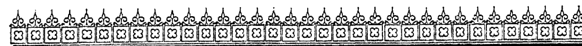
wjeżdżał do starego grodu nad Wisłą król polski i prawy dziedzic księstwa mazowieckiego.

Zgasła udzielność Mazowsza, jak to słońce na widnokręgu, które znika powoli, spokojnie po za chmurami, nie wzniecając krwawéj łuny.

Ale nie skończyły się jeszcze smutne dzieje ostatniéj księżnéj mazowieckiéj.

VI.

ZSTĄPIENIE Z TRONU.



Zygmunt bawił w Warszawie w ciągu kilku tygodni (od 25-go sierp. do 23 wrześ. 1526 r.), bo sprawa wcielenia Mazowsza do Korony wymagała dłuższego czasu, starań i zabiegów. Po tém wszystkiém, co poprzednio było zaszło, nie mogło ulegać żadnéj wątpliwości, że udzielność polityczna księstwa w jakimkolwiekbądź innym kształcie przywróconą nie będzie. Wielkiéj doniosłości zadanie musiało być rozwiązaném tak, jak tego ogólny interes Polski wymagał. Zapewnienie, dane przez króla, wsparte powagą jego słowa, iż pomimo przyłączenia wszystkie przywileje szlachty zatwierdzone będą, działało uśmierzająco, jak oliwa wylana na rozkołysane fale. Najeżone Mazurów umysły dały się ugłaskać uroczystém oznajmieniem, iż prócz zmiany najwyższéj dotychczasowéj zwierzchności, żadna

inna w wewnętrznym układzie nie zajdzie. Ostateczne uporządkowanie wzajemnego stosunku odłożono do walnego sejmu koronnego, który późną jesienią tegoż roku miał się odbyć w Piotrkowie. Na razie zarządzono odebranie od dostojników, urzędników i szlachty przysięgi na wierność królowi, po któréj wykonaniu w dn. 13 września, Zygmunt objął księstwo mazowieckie w posiadanie i wcielił je do Korony. Załatwił téż i inne co pilniejsze sprawy, które zwłoki nie cierpiały.

Wtedy to nareszcie zmarły książę Janusz po tak długiéj, kilkomiesięcznéj zwłoce, doczekał się uroczystego pogrzebu i ciało jego złożono w murowanym grobie w kolegiacie św. Jana.

Pomyślano i o księżnie Annie, o należytém jéj opatrzeniu. Nie zapomniano téż i o starszéj Zofii. Sprawę obu sióstr wzięli zapewnie w swą opiekę najbliżsi po matce krewni Radziwiłłowie, z których Jerzego i Jana bytność w tym właśnie czasie w Warszawie stwierdzają listy urzędowe.

Król, obejmując spuściznę po dwóch ostatnich książętach, poczuwał się do obowiązku, jaki ciążył na obu braciach względem sióstr pozostałych. Téj zasady trzymać się postanowił

i według niéj nadal postępował. Ponieważ obaj bracia za życia obowiązani byli zapewnić siostrom w stanie panieńskim „przyzwoite opatrzenie“, — przy zamążpójściu zaś odpowiednio uposażyć z ojcowizny i z macierzyzny, więc i Zygmunt taką samę przyjmował na siebie powinność. Skoro starsza Zofia już poprzednio w ślubne wstąpiła związki, przeto względem niéj zobowiązywał się wypłacić resztę nieuiszczonéj jeszcze sumy posagowéj, po dopełnieniu z jéj strony oraz męża formalności prawnych — pokwitowania, zrzeczenia się dalszych uroszczeń, tudzież ubezpieczenia posagu na dobrach wojewody, jéj małżonka. Taką téż odpowiedź w dniu 17 września dać kazał posłowi króla węgierskiego i Stefana Batorego, na poprzednio w ich imieniu wnoszone prośby i czynione przedstawienia. Co zaś do ruchomości, to ponieważ takowemi nie mógł z prawa rozrządzać i do spraw domowych obu sióstr mieszać się nie chciał, pozostawił rzecz tę zobopólnemu między dziedziczkami porozumieniu.

Względem Anny, jako niezamężnéj, zobowiązał się Zygmunt, w myśl powyższéj zasady, dać jéj „uczciwe opatrzenie“ odpowiednio do wysokiéj godności, atoli z warunkiem, że księżna korzystać z niego będzie tylko przez czas

pozostawania w stanie panieńskim, w razie zaś za mąż wydania, przeznaczone dla niéj dobra wrócą do króla, a natomiast stosowny posag wypłacony jéj zostanie.

Jakoż już pod dniem 10-ym września wyszedł z kancelaryi królewskiéj list, który szczegółowo wyliczał i określał wszystkie dobra i dochody, jakie stanowić miały owo „uczciwe opatrzenie“ księżnéj Anny, z zastrzeżeniem, pokilkakroć wyraźnie powtarzaném, iż takowe nie dłużéj, jak do czasu zamążpójścia ma służyć. Brzmiał on, z pominięciem tu różnych formuł, w treści swéj, jak następuje:

„Księżnie Annie dajemy na używanie, dopóki zamąż wydaną nie będzie, dobra niżéj opisane: zamek liwski z obojem miastem i wsiami zdawna do niego należącemi, które są wolne, a nie zastawione lub jakimbądź sposobem obciążone, wraz z czynszem naszym, ze wsi szlacheckich, ziemi lub powiatu liwskiego zwykle przypadającym. Także miasteczka Latowicz i Garwolin z wsiami do nich przyległemi. Również miasteczko Goszczyn z folwarkiem w Będkowie, z wsiami do nich przyległemi; jakotéż miasteczko Piaseczno z wsiami Słomino, Łazy i innemi wsiami do nich należącemi. Podobnież zameczek Osiecko i Dęby z wsiami ich dotykającemi

ze wszystkiemi i szczególnemi tychże miasteczek i dóbr wyżéj opisanych czynszami, dochodami, podatkami, cłami, robociznami, lasami, jeziorami, daninami miodu i t. d., z prawem prezenty do wszystkich i pojedynczych kościołów...“

Jedno tylko domieszczono ograniczenie.

Ponieważ w Liwie miał stałe swe siedlisko starosta grodowy, który i zamku warownego strzegł i karną w ziemi sprawował władzę, więc pozostawiono przy nim jego zwykłą jurysdykcyą. „Ale natomiast — są słowa listu — chcemy, aby każdy starosta liwski, czasowo będący, przysięgę wierności nam i następcom naszym wykonać się obowiązał, że zachowa i strzedz będzie wiernie tegoż grodu i że gdy oświecona pani księżna w małżeństwo daną będzie, lub przypadkiem zejdzie z tego świata, czego niech Pan Bóg uchowa, że sam rzeczony gród Liw dla nas i następców naszych pilnie zachowa i ów-że nam samym i następcom naszym na nasze i tychże następców naszych zlecenie wyda i wolno opuści. Tenże starosta liwski imieniem i z upoważnienia naszego, jurysdykcyą wykonywać będzie zwykłą, która wraz z innemi prawami zwierzchnictwa naszego we wszystkich i pojedyńczych dobrach

wyżéj opisanych nam i następcom naszym zachowujemy.“

Prócz pomienionych zamków, dóbr i wsi, inne jeszcze dogodności przyznano księżnie. „Dozwalamy (jéj) wolne używanie domu, czyli zamku książęcego mniejszego, w którym obecnie przebywa, w mieście naszém w Warszawie, aby tam dowoli mieszkać i jego używać mogła, bez żadnéj naszéj i naszych następców lub urzędników naszych przeszkody do czasu wspomnionego. Nadto, dozwalamy jéj wolnego przewozu przez rzekę Wisłę zbóż i innych rzeczy, które zbierają się, pochodzą lub wyrastają na folwarkach i dobrach wyżéj rzeczonych, których używania jéj dozwoliliśmy, a które będą jéj własne, a nie inszych, bez żadnéj opłaty ceł naszych królewskich i żadnéj przeszkody, oraz wycinanie wolne drzew i dębów w gajach naszych Stromieckich na wyłączną potrzebę folwarku w Będkowie. Wyjmujemy także oświeconą panię księżnę Annę od wszelkiéj służby i wyprawy wojennéj ogólnéj i szczególnéj, przeciw którymbądź nieprzyjaciołom naszym z królestwa naszego przez nas zapowiedzianych, lub zapowiedziéć się mającym, tak że dopóki dobra pomienione trzymać będzie, żadnych zupełnie

wypraw wojennych, nawet przez innych odbywać nie powinna, ani jest obowiązana.“

Po upływie kilku miesięcy, kiedy księżna już w nowych warunkach rozpoczęła swe życie, okazała się potrzeba proszenia o inne jeszcze dogodności, na które król chętnie przystał. Przeznaczono jéj więc 90 beczek piwa corocznie z Rożana, Ciechanowa, Przasnysza i Zakroczymia, z których część miała być na podwodach odsyłana według wskazania księżnéj. Dodano nadto 12 beczek ryb solonych z jezior królewskich łomżyńskich, pewną liczbę beczek soli, oznaczoną miarę miodu, stosowną ilość zwierzyny i t. d. Ponieważ prócz tego, król zobowiązał się zaspokoić wierzycieli, o ileby słuszne mieli prawa, uiścić należność dworzanom Janusza, więc opatrzenie dane księżnie, nieobciążone żadnemi obowiązkami, mogło jéj zapewnić odpowiednie środki dla zachowania sług, służebnic, dworzan i urzędników na swoim niezbyt świetnym, ale zawsze dość okazałym dworze książęcym.

Zejść atoli z wyżyn tronu na poziomy powszedniego życia, choćby nawet dostatniego, wyrzec się władzy, blasku i osiąść w zaciszu wiejskiém lub małomiasteczkowém, — byłoby ciężką i przykrą rzeczą dla każdego, o ileż przy-

krzejszą dla osierociałéj i w rozkwicie młodego wieku będącéj księżnéj. Wprawdzie w osobie króla znalazła ona tkliwego na swoją dolę opiekuna-ojca, który ją stale ukochaną córką nazywał i częste dawał jej dowody swojego przywiązania. Licznym jéj prośbom czynił zadość w miarę sił i środków. O tym dobrym stosunku króla do księżnéj świadczą te różne dogodności i nadania, jakie on czynił za jéj wstawiennictwem na rzecz osób, które dawniéj bądź matce, bądź braciom lub jéj saméj dobrze się zasłużyły. Prośbą jéj poruszony, wyznaczył Zygmunt tysiąc złotych posagu córkom Jakóba ze Rzwienia, byłego marszałka mazowieckiego, które, jak się zdaje, podczas ostatniéj choroby otaczały swą troskliwą opieką dogorywającego w ich domu księcia Janusza. Doktorowi nadwornemu, Baltazarowi Smosarskiemu, który pielęgnował schorzałego brata, księżna obiecała spłacić należne mu sto kóp groszy, ale gdy obietnicy dotrzymać nie mogła, król ją w téj mierze zastąpić obiecał. Rządca dóbr w Latowiczu, Jakób Roguski, ekonom księżnéj, otrzymał za jéj wstawieniem siedm włók lasu królewskiego na własność. Ochmistrzyni jéj dworu, pani Anna Sobiekurska, wyjednała tą drogą dla siebie czynsze z dóbr zmarłego swego męża, które przypadały skar-

bowi. I tak wiele innych składał dowodów łask i przychylności Zygmunt, jak gdyby szczerze chciał osłodzić ciężki los sierocie, dla któréj zapewne więcéj miał serca, aniżeli sama królowa, choć ta się zwała Boną.

Próżni w sercu młodéj, osamotnionéj kobiéty wypełnić jednak nie mogły te różne oznaki królewskiéj dobrotliwości, ani téż te dobre, pobożne uczynki, jakiemi znaczyła drogę swojego powszedniego życia, składając drobne ofiary na rzecz kościołów, uposażając choć skromnie szpitale w swoich dobrach, zajmując się wystawieniem obu braciom pomnika, co do dziś dnia świątynię św. Jana zdobi. Zaledwie kilka lat upłynęło spokojniejszych, aż tu duszę jéj okrył nowy smutek, kiedy w 1528 roku owdowiała starsza siostra Zofia, straciwszy męża, z którym dzieliła tyle zmiennych kolei. Nie winić tu oczywiście Zygmunta, który, wydając ją jako opiekun za mąż za Stefana Batorego, ani mógł przewidzieć, że jéj taką burzliwą przyszłość zgotuje. Choć nie bez pewnych widoków politycznych, król do tego związku zachęcił i namówił, sądził jednak, że dobrze się ze swego obowiązku wywiąże. Tém większą miał teraz powinność, jako opiekun, względem osieroconéj zupełnie Anny.

Nie słychać atoli, żeby jakie w téj mierze czynił starania czy u książąt szląskich, czy u margrabiów lub magnatów węgierskich. A przecież księżna, gdy zstępowała z tronu, była w pełnym jeszcze blasku lat wiosénnych i świeciła krasą swéj urody. Wdziękami jéj ujęty Kazimierz, margrabia brandeburski, kruszył kopią na jéj cześć podczas świetnego turnieju, urządzonego z powodu uroczystości zaślubin Bony, w któréj Anna wraz z matką uczestniczyła. W kilka lat poźniéj portret jéj, mieszczący na tém samém płótnie obu braci Stanisława i Janusza, zachowany dotychczas w sali ratusza miejskiego w Warszawie, przedstawia nam jéj piękną wysmukłą postać i nadobne jéj oblicze [1].

---

[1]) Wbrew wszelkim nieomylnym wskazówkom (długie rozpuszczone włosy i młody wyraz twarzy) szanowny autor „Pomników książęcych Piastów", Piotrków, 1888, str. 141, podając w przerysie cały wizerunek, twierdzi, iż to są portrety ostatnich książąt mazowieckich i ich matki. Widocznie, siostrę ich Annę bierze za matkę tegoż imienia, zmarłą w 1522 roku. Data zgonu jéj, oraz śmierci Stanisława zaszłéj w 1524 roku, wskazuje, że portret, będący współczesnym utworem pędzla, był malowany z natury między 1522 a 1524 rokiem. Cechy jego współczesności stwierdził także p. W. Gerson, który przez szczegółowe, na prośbę naszą, obejrzenie wraz z nami i podanie trafnych wskazówek, ułatwił nam usunięcie wszelkiego powątpiewania co do osoby młodéj księżniczki Anny, wyobrażającéj na płótnie wzmiankowaném — siostrę, a nie matkę obu książąt Stanisława i Janusza.

Kształtna główka o jasném czole, ciemne głębokie oczy, przydłuższy, lecz delikatną linią oznaczony nosek, wąskie usta i ściągły podbródek — składają się na obraz, z którego wyziera rozbudzona dusza o lotnéj, skrzydlatéj myśli. Gdyby nie ciemno-rudawy odcień zlekka przebijający—włosów, które zresztą ujęte w perłową przepaskę bujnie ku ramionom spływają, gdyby nie różowawy połysk cery, byłaby harmonia wdzięków niewieścich dosięgła szczytu piękności. Jeżeli czarami swéj krasy rzucićby uroku nie mogła na wybredne oko, to potrafiłaby podbić serce skromnością, dobrotliwością i głębokiém uczuciem religijném piastowskiéj córy. Ale pomimo tych wielkich zalet, nie zgłaszał się nikt, coby takich skarbów duszy szukał.

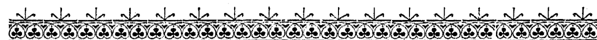
Wprawdzie, kiedy Anna piastowała rządy Mazowsza, książę pruski Albrecht chciał ją wyswatać za swego brata Wilhelma, ale nie trudno było się domyśléć, że w tych zabiegach o jéj rękę chodziło raczéj o posiadanie księstwa, aniżeli jéj serca. Zresztą, nigdyby księżna z rodu Piastów nie była wyszła za mąż za księcia, który porzucił starą wiarę i do nowéj przystał. Sam król Zygmunt także, jako opiekun, nie byłby się zgodził dla wielu poważnych pobudek na taki niebezpieczny pod względem politycznym

związek. Podobno następnie prymas Łaski chciał z księżną Anną skojarzyć swego synowca, ale i to nieodpowiedniém się wydało.

Tak więc w osamotnieniu sierocém schodził rok za rokiem, a serce daremnie tęskniło do spokojnego szczęścia domowego, któreby przy boku kochającego męża pozwoliło zapomnieć o tylu doznanych w krótkiém życiu zawodach. Zbliżała się też niepowstrzymanym biegiem ta groźna w panieńskim wieku chwila, kiedy rok jeden i drugi przybędzie, a wnet po bujnéj wiośnie nastaje jesień i kwiat urody po długotrwałym blasku nagle więdnąć i liście swe gubić zaczyna. Już prawie na saméj granicy tego niebezpiecznego kresu, księżna przestawszy wyczekiwać jak w bajce młodego królewicza, postanowiła za zgodą króla-opiekuna oddać swą rękę młodemu szlachcicowi polskiemu, który się właśnie o nią zgłosił.

VII.

WYJŚCIE ZA MĄŻ.



Wybrańcem tym, który ostatnią Piastównę miał pojąć za żonę, był Stanisław ze Sprowy, wojewoda podolski. Był to dziedzic wielkiego rodu i wielkiéj fortuny. Pochodził z Odrowążów, którzy od tak dawna w Polsce świecili niezwykłym splendorem zarówno w kościele, jak i w świeckiéj radzie królewskiéj. Na Rusi przodkowie bywali prawie nieustannie wojewodami. Ta gałąź, z któréj Stanisław brał początek, pisała się na Jarosławiu i Zinkowie, i oddawna dzierżyła w zastawie rozległe dobra starostwa samborskiego. Ojciec odumarł go wcześnie, a opiekę nad nim oraz siostrami sprawowali krewni, Odrowążyce z rodu, Szydłowieccy, którzy przy Zygmuncie, królu, również na najwyższych stanęli szczeblach — Krzysztof, kanclerz i Mikołaj, podskarbi kor. W 1527 roku

Stanisław doszedł do pełnoletności, wtedy dopiéro, kiedy księżna Anna, przyszła jego małżonka, już była skończyła swój zawód polityczny, ustąpiwszy z tronu. W młodym wieku, zaledwie wypuszczony z opieki, Odrowąż ożenił się w końcu 1530 r. z Katarzyną, córką Łukasza z Górki, kasztelana poznańskiego, lecz w krótkim bardzo czasie został bezdzietnym wdowcem we wczesnych latach, licząc ich wtedy chyba nie więcéj nad dwadzieścia jeden. Dla tego téż młodego i niedoświadczonego wieku nie mógł jeszcze żadnego wydatniejszego zajmować w rzeczypospolitéj stanowiska. Był wprawdzie starostą samborskim, ale ta godność, przywiązana do posiadanéj w rodzie dzierżawy królewskiéj, przeszła na niego dziedzicznie. Dopiéro w 1533 roku od razu wielki skok czyni, zostawszy kasztelanem lwowskim. Inni szli latami całemi zwolna przez różne stopnie, nim się do senatu królewskiego dostali. On zaś i na tém kasztelańskiém krześle siedział niedługo, bo wkrótce w 1535 r. obdarzony został godnością wojewodzińską, a do tego niepoślednią. To niezwykłe wywyższenie młodego starosty budzi domysł, ażali się to nie stało dla jakich szczególniejszych względów. Jakoż pewną wskazówkę w téj mierze podaje sam list królewski, wynoszący Odro-

wąża na wysokie dostojeństwo „za wstawieniem się, jak w nim nadmieniono, naszéj najukochańszéj małżonki", czyli królowéj Bony.

Miałażby więc ona to sprawić w widokach skojarzenia stadła?

Istotnie, zdaje się, jak gdyby na starostę samborskiego i lwowskiego spadła ta wielka godność właśnie w chwili, albo rozpoczętych swatów, albo może już ukończonych, po słowie daném przez księżnę, a zatwierdzoném przez króla-opiekuna. Ale tak czy inaczéj, — dość, że młodego wojewodę podolskiego, młodszego o lat kilka, postanowiła Anna obrać sobie za dozgonnego w życiu towarzysza, aby nareszcie przerwać tak długie pasmo sierocego osamotnienia. Wprawdzie, przyszły małżonek nie posiadał udzielnego państwa, nie świecił nawet książęcym tytułem, lubo się niekiedy hrabią na Jarosławiu pisał, ale w każdym razie nie cudzym służył panom, nie na obczyźnie przebywał, lecz we własnym kraju dobijał się zaszczytu. Więc między swemi, na ukochanéj rodzinnéj ziemi się zostanie.

A może?... lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Ślub odbył się prawdopodobnie w kwietniu lub w maju 1536 r., jak miarkować można

ze skąpych bardzo w tym względzie wiadomości. Król, który od dłuższego już czasu bawił w Wilnie, nie wziął udziału osobiście w téj uroczystości, uczcił ją jednak przez wysłanych od siebie wysokich dostojników. Zdaje się, że błogosławieństwa udzielił nowożeńcom ówczesny arcybiskup i prymas Andrzej Krzycki, w towarzystwie Piotra Gamrata, biskupa przemyskiego. Obaj oni wraz z wojewodą mazowieckim, Piotrem Goryńskim, mieli sobie poruczoném dopilnować formalności sądowych celem ubezpieczenia posagu, jaki księżna Anna od króla w myśl dawniejszych jego zobowiązań otrzymać miała przy ustąpieniu z dóbr, wyznaczonych jéj w kształcie oprawy panieńskiéj aż do zamążpójścia.

Ponieważ wypłacenie sumy posagowéj natychmiast po ślubie połączone było z pewnemi trudnościami, również ubezpieczenie jéj na dobrach wojewody Sprowskiego, leżących na odległéj Rusi, gdzie do właściwych akt grodzkich wniesione było być winno, przeto zaszła potrzeba, aby za małżonka księżnéj, za Stanisława Odrowąża sprowskiego poręczyły właściwe osoby, iż w oznaczonym czasie po odebraniu posagu, formalność ta prawna dopełnioną będzie. Król żądał, aby to nastąpiło w ciągu trzech miesięcy

po wypłaceniu sumy posagowéj. Jakoż wymaganą w tym względzie rękojmię piśmienną dali, obecni prawdopodobnie na weselnéj uroczystości w Warszawie powinowaci, przyjaciele i znajomi Stanisława Odrowąża, a mianowicie: Andrzej Oporowski, wojewoda łęczycki, Stanisław z Kutna, wojewoda rawski, kasztelanowie: przemęcki Stanisław Łaski, biechowski Mikołaj Rusocki, sochaczewski Paweł z Woli, rawski Andrzej z Trzciany, Spytek Jordan z Zakliczyna, Andrzej Tarło ze Szczekarzewic i inni w liczbie dwunastu.

Poręczyciele zobowiązywali się w ciągu jednego roku, licząc od chwili wypłacenia posagu, odpowiadać swemi majątkami za Stanisława Sprowskiego, mającego zabezpieczyć takowy na połowie wszystkich swych dóbr ruchomych i nieruchomych. Wysokość sumy nie była podaną. Nadmieniono tylko, że w odpowiednim stosunku, jako posag i wiano, powinna być oprawioną, czyli zapisaną na dobrach, z dołączeniem wartości klejnotów, jakieby księżna Anna w dom jego wniosła.

Żądanie takiéj rękojmi—wypływało z obowiązków króla, jako opiekuna. Dlaczego jednak nie domieszczono wyraźnie wysokości sumy posagowéj?

Czyżby małżonkowie liczyli na wspaniałomyślność Zygmunta? Jeżeli tak istotnie było, to czekał ich wnet przykry zawód.

Król upoważnił podskarbiego koronnego, Spytka z Tarnowa, aby na zamku krakowskim w urzędzie grodzkim wypłacił obu małżonkom przy pierwszém zgłoszeniu się, 10,000 dukatów, odebrawszy od nich należyte pokwitanie [1]).

Taki sam posag w podobnéj wysokości otrzymała starsza siostra, Zofia, w części uiszczony przez zmarłą matkę i braci, w niedopłaconéj zaś części uzupełniony już przez Zygmunta. Do hojniejszéj łaski król nie poczuwał się zobowiązanym. Równą postanowił ręką odmierzyć jednéj i drugiéj siostrze, żadnéj między niemi nie czyniąc różnicy.

A skoro tak stanęło, to wypadało wyznaczony posag odebrać i wyjść „z panieńskiego

1) Wartość dukata węgierskiego w monecie bieżącéj ówczesnéj wynosiła 48 groszy (w roku 1544 Metr. k. 69, f. 172), cały posag w ilości 480,000 groszy według cen zboża z owych lat przedstawiał wartość mniéj więcéj 80 tysięcy korcy żyta. W każdym razie był to posag niepośledni, magnacki, choć oczywiście nie tak wielki, jakiego się spodziewała udzielna niegdyś księżna, ostatnia z Piastów mazowieckich. Za pierwszą żoną otrzymał Stanisław Odrowąż od swego teścia kasztelana poznańskiego, Łukasza Górki, około 9,000 dukatów (Metr. kor., 54, f. 23).

opatrzenia", porzucić zamki, miasta i miasteczka, oraz włości na Mazowszu, oddać je królowi, pożegnać ukochaną ojcowiznę, rozstać się z Warszawą i pójść za mężem — hen na Rus daleką, do Jarosławia.

Zamiast jednak do Krakowa po posag, Odrowąż ruszył do Wilna, do króla, Anna zaś do dóbr swoich, aby z nich wbrew zobowiązaniu, nie ustępować. Na całéj linii wydane było przez obu małżonków hasło: nie dopuszczać urzędników królewskich, gdyby „wwiązać się", czyli wejść chcieli w posiadanie Liwa, Osiecka, Garwolina i innych dóbr oprawy panieńskiéj, owszem, bronić się do upadłego.

Widocznie, według mniemania nowożeńców krzywda im się stała.

Już gorliwi w dopilnowaniu pożytku królewskiego urzędnicy, zaczęli nawet czynić starania o objęcie w posiadanie przypadających skarbowi włości. Cofnęli się jednak przed stanowczym i zbrojnym oporem. Pierwsze zaraz niepowodzenie spotkało biskupa przemyskiego Gamrata, który miał sobie od króla poruczoném odebrać dobra księżnéj i w nich nowy zarząd królewski ustanowić. Posłany w początkach czerwca przez niego do Liwa, Arciechowski, przyboczny jego pisarz, opatrzony

w odpowiednie listy i upoważnienia, daremnie żądał od starosty liwskiego, Stanisława Sienickiego, aby mu dobrowolnie zamku ustąpił. Rządca przyległych dóbr, Pełka, podobnież stanowczo odmówił. W imieniu zaś księżnéj wystąpił woźny z piśmiennym protestem, w którym przeciwko uroszczeniom króla wystawiano istotne prawo dziedziczne, przysługujące jakoby księżnie wojewodzinie.

W Warszawie, na początku lipca, woźny sądowy, wraz z dwoma świadkami ze szlachty, udał się do mniejszego zamku warszawskiego, który „Ogródkiem“ zwano, a który był poprzednio ustąpiony księżnie do czasowego użytku, — i urzędownie oświadczył, iż takowy przechodzi odtąd pod zarząd starosty. Gdy jednak obecny w nim podskarbi księżnéj, Jakób Kownacki, nadmienił, iż znajduje się w nim niemało rzeczy, będących własnością jego pani, polecono mu, aby je wyniósł w ciągu dwóch tygodni, zostawiając na miejscu stoły, ławki, błony w oknach, zamki, łańcuchy i t. p., jako należne do inwentarza zamkowego. Wezwany potém przez starostę urząd miejski, o podanie zbrojnéj pomocy, poparcia odmówił. Poczciwi mieszczanie warszawscy nie chcieli widocznie przykładać ręki do przykréj sprawy wyrzucania swéj dawnéj pani.

Podobnież zachowali się mieszczanie w Piasecznie, dokąd, z polecenia kasztalana i starosty warszawskiego, Jana Dzierzgowskiego, udał się burgrabia w towarzystwie woźnego i świadków ze szlachty, celem objęcia dóbr piaseczyńskich w posiadanie. Było to 10 lipca, kiedy przed dworem w Piasecznie ukazał się urząd sądowy, niosący rozkazy królewskie. Nie usłuchano ich jednak. Na głos rządcy i oficyalistów księżnéj Anny, zbiegli się tłumnie mieszczanie i wieśniacy z sąsiednich folwarków, aby w danym razie stawić opór czynny. Oświadczono jednogłośnie wykonawcom woli królewskiéj, że ich nie dopuszczą do dóbr księżnéj, którą zarówno rządca, jak i urząd miejski uważają za jedyną panią, oraz dziedziczkę i tylko jéj rozkazom ulegać będą. Po otrzymaniu takiéj odpowiedzi, zaniechał podstarości warszawski dalszych kroków egzekucyjnych.

W Wilnie, pomimo użytego prawdopodobnie wpływu Radziwiłłów, Odrowąż żadnych ustępstw nie uzyskał. Owszem, król z nieugiętą stanowczością trwał przy swojém postanowieniu. Zarządził nawet najostrzejsze środki, celem natychmiastowego objęcia w posiadanie

dóbr danych księżnie, jak wiadomo, tylko warunkowo, aż do czasu zamąż jéj pójścia.

Wykonawcą woli swéj obrał Tomasza Sobockiego, naonczas wojskiego łęczyckiego i dworzanina, który następnie zostawszy podczaszym nadwornym, w niewiele lat późniéj (1545 r.), był wyniesiony na wysoką godność kanclerza koronnego. Przez kilka dni była w Wilnie czynną kancelarya królewska, wydając pod datą 24, 25, 26 oraz 27 lipca różne listy do Anny i Odrowąża, rozporządzenia do starostów, zlecenia do urzędów miejskich i t. d. Sobocki wiózł ze sobą cały zwój papierów, zawierających, jak burzliwa chmura, gromy gniewu, groźb i kar królewskich.

Pierwszy ich odgłos rozległ się w murach Warszawy na początku sierpnia. Urząd miejski otrzymał surową od Zygmunta naganę, za odmówienie staroście pomocy przy objęciu w posiadanie dóbr księżnéj, a jednocześnie został wezwany, aby pod groźbą ciężkiéj odpowiedzialności, wsparł siłą swą pełnomocnika królewskiego, wysłanego umyślnie w téj sprawie. Na rynku Starego Miasta, wobec zgromadzonego ludu, obwieścił tedy woźny sądowy jeszcze groźniejsze słowa, powtórzywszy potrzykroć co następuje:

„Aby każdy wiedział, iż j. kr. mość, nasz miłościwy pan, kładzie zakład 30,000 zł. mocą a prawem swém królewskiém przeciwko wielmożnemu panu Stanisławowi Odrowążowi, wojewodzie podolskiemu i przeciwko wielmożnéj paniéj Annie, wojewodzinéj podolskiéj, małżonce jego, aby wolno puścili j. kr. miłości wszystko to imienie koruny polskiéj, które przerzeczona pani Anna, wojewodzina podolska, do czasu w małżeństwo pójścia, z łaski j. kr. mości pożywała i którego imienia korunnego, j. kr. miłość raczył był dla wychowania stanu panieńskiego jéj użyczyć z łaski swéj królewskiéj. A tak ten zakład przerzeczony 30,000 zł. j. kr. miłości przepadają, albo przepadną, jeśli żeby bronili wiązowania, a wolno nie puścili tego wszystkiego korunnego imienia za rozkazaniem j. kr. miłości w ręce służebników, a dworzaninów i posłowi j. kr. miłości, panu Tomaszowi Sobockiemu, wojskiemu łęczyckiemu, którego król j. miłość ku temu z dworu swego posłać raczył. A to, aby téż każdy wiedział, iż ten zakład ściąga się na wszystkie pomocniki, służebniki przerzeczonego pana wojewody podolskiego i paniéj wojewodzinéj, którzybykolwiek z niemi, albo od nich przerzeczonego imienia dworzaninowi i posłowi j. kr. miłości, przerze-

czonemu p. Sobockiemu, bronili mocą a gwałtem“.

Podobne wadya, czyli zakłady pieniężne, ustanawiali zwykle starostowie, z wyższego polecenia, w wypadkach, kiedy dwie strony prywatne, pominąwszy sądy, wszczynały między sobą gwałty, najazdy, krwawe rozprawy z powodu zabójstwa, lub innego jakiego bezprawia. Tym razem król, będący stroną, sam ustanowił taki wysoki i niezwykły, jak na owe czasy, zakład, czyli karę pieniężną, wrazie sprzeciwienia się jego rozkazom. Również ostre zalecenia otrzymał starosta warszawski i inne urzędy władzy wykonawczéj.

Do uszu księżnéj wnet doszły wieści o nadciągającéj burzy. Uledz, czy nie uledz? Ona, którą król przestał nazywać swą córką ukochaną, którą tytułować kazał tylko wielmożną panią wojewodziną, ona, dotknięta wrzekomą krzywdą, z uczuciem bólu doznanéj zniewagi, postanowiła niebacznie — stawić opór. W tym téż duchu ponowne rozkazy poleciła śpiesznie gońcom zanieść do ekonomów, rządców i urzędów we wszystkich swych dobrach.

VIII.

ZATARG Z KRÓLEM.



W ustronnym zameczku osieckim, okololonym ciemną wstęgą drzemiącéj puszczy, spędzała na początku sierpnia dnie czarnego smutku ostatnia dziedziczka Piastów mazowieckich. Słodycz szczęścia rodzinnego tak prędko ustąpiła miejsca goryczy. Dawne sieroce osamotnienie znów powróciło. Wojewoda usunął się z widowni — na chwilę rozpoczynającego się przeciwko królowi oporu, pozostawiwszy na posterunku księżnę, która więcéj, niż on sam, mogła mieć słusznych pozorów bronienia kawałka swojéj ziemi mazowieckiéj. Wśród grobowéj ciszy mrocznych borów, w milczącém otoczeniu głuchych ścian, na progu niepewnego jutra, tęskna myśl Anny ulatywała chętnie ku ubiegłéj przeszłości, złocąc ją promiennym blaskiem straconéj władzy. Z tych drogich wspo-

mnień, które się zewsząd tłoczyły do duszy, brało swój nastrój uczucie, tłumiąc głos chłodnéj rozwagi. Jak przed laty dziesięciu, sięgnęła Anna wątłą ręką po berło książęce, wbrew wyraźnemu prawu, tak i teraz, uczuciem się tylko rządząc, bieg prawa wstrzymać zamyślała.

W początkach sierpnia zwykły spokój dworu przerwało przybycie posła królewskiego. Przed obliczem księżnéj stanął Tomasz Sobocki, w towarzystwie dwóch woźnych sądowych z powiatu warszawskiego i czerskiego, tudzież czterech świadków ze szlachty i rzecz swą temi zagaił słowy:

— „Jego królewska mość, pan nasz miłościwy, przysłał mnie tu do wielmożnéj pani, abym jéj z polecenia j. kr. mości przypomniał, jako niedawno księstwo mazowieckie przyłączoném zostało do Korony dla braku męzkich dziedziców i jako król jmość, przybywszy do Warszawy, po wcieleniu puścizny odebrał przysięgę wierności, poczém raczył z łaski swéj wyznaczyć wielmożności waszéj niejakie dobra dla przystojnego wychowania w panieńskim stanie, aż do zamąż pójścia..." i t. d. I w długim wywodzie, spełniając piśmienne króla polecenie, wyłuszczał Sobocki znane nam okoliczności, jako już wtedy (?) określoną była suma posagowa

w razie zawarcia związków małżeńskich w wysokości 10 tysięcy dukatów, która w téj saméj mierze wypłaconą była starszéj siostrze Zofii. Nadmienił daléj, że po ślubie jmkról piśmiennie przyrzekł sumę uiścić, dał ponownie takież zaręczenie wojewodzie i upoważnił podskarbiego do wypłacenia jéj z zachowaniem formalności. Przypomniał następnie, że wojewoda wraz z małżonką ociągali się odebrać posag i wzamian zwrócić dobra posiadane warunkowo, że nadto, gdy się zgłosili urzędnicy królewscy celem objęcia takowych w posiadanie, mocą i siłą zbrojną byli odpędzeni ku wzgardzie prawa i powagi króla jegomości. „Dlatego też, — tak rzecz swą prowadząc ku końcowi, oświadczył Sobocki — przysłał mnie tu nasz pan miłościwy, swego dworzanina i posła, abym w imieniu króla jegomości napomniał i wezwał wielmożną panią, iżby wraz z małżonkiem swoim sumę posagową 10,000 dukatów na zamku krakowskim złożoną w wolnym czasie odebrała i z dóbr oprawy panieńskiéj bezwłocznie ustąpiła pod zakładem 30 tysięcy złotych. Prócz tego polecił mi król nasz najmiłościwszy, iż jeżeliby w czemkolwiek woli jego i rozkazowi nie stało się zadość, a ktokolwiek choćby z pomocników lub sług opiérać się ośmielił, uważać i karać to będzie jako obra-

zę majestatu. A dla lepszéj zaś wiadomości i dokładniejszego zrozumienia rozkazów jego królewskiéj miłości, oraz skutków, jakie pociągnie za sobą ich niespełnienie przez wielmożną panią i jéj małżonka, napominam wielmożność waszę, abyś te listy królewskie przyjęła i pilnie je u siebie rozważyła".

I rzekłszy te słowa, sięgnął po mandaty do zanadrza, chcąc je księżnie doręczyć.

Anna, która słuchała przemówienia posła z należytą powagą, rąk swych nie wyciągnęła po listy królewskie.

— Nie biorę ich, ani wezmę — odparła krótko i stanowczo — bo nie wiem, co się w nich zawiéra.

— Rozkazy królewskie — powiada Sobocki — które przed chwilą ustnie wyłuszczyłem.

Gdy księżna i po tém objaśnieniu wzdragała się przyjąć piśmienne polecenia od króla, poseł-dworzanin czyniąc zadość wymaganiu prawa, zastąpił doręczenie ich przez położenie listu na jedwabnéj poduszeczce, która stojącą obok ławeczkę zdobiła i te dodał słowa:

— Oto są listy j. k. mości, które tu składam, a któremi król jmość ustanawia zakład 30 tysięcy zł. przeciwko wielmożności waszéj i małżonkowi, oraz wszelkim pomocnikom.

Przepadną one (czyli przypadną skarbowi), jeżeli w czemkolwiek rzeczonym rozkazom nie stanie się zadość i jeżeli pomienione dobra, należące do Korony natychmiast bez żadnéj zwłoki w ręce moje puszczone nie będą.

— Ani zakładu tego, ani tych listów — odparła księżna — nie przyjmuję, ponieważ zakład taki ustanowiono przeciwko przepisom prawa, a j. król. mość nie jest mocen cokolwiek uczynić, co się sprzeciwia postanowieniu prawa pospolitego. Takiemu przeto zakładowi, który położony jest wbrew prawu, nie poddaje się, albowiem zakłady ustanawia się między stronami, gdy o głowę chodzi, gdy komu przegróżki czynią.

Więc i ten list wadyalny, nieprzyjęty przez księżnę spoczął na jedwabnéj poduszce.

— A teraz, skorom dopełnił przedwstępnéj czynności — mówił daléj niezbity z tropu poseł królewski — pytam się, azali wielmożność wasza ustępuje z przerzeczonych dóbr danych przez króla jegomość aż do pozostawania w stanie panieńskim, azali je wolno puszcza i czyli mogę bezpiecznie objąć je w posiadanie?

— Ja tych dóbr — odpowié księżna wyraźnie, stanowczo i z niezwykłą siłą — nie puszczę wam, ani ich nie ustąpię, ani obecnie wam

puszczam lub z nich ustępuję. Wobec was — zwracając się do woźnych i przytomnéj szlachty — rzekła — oświadczam, że tych dóbr nie ustępuję, ani téż z nich dobrowolnie nie ustąpię.

I powiedziawszy te słówa, kazała obecnym woźnym dać po groszu, jak tego w podobnych wypadkach wymagał zwyczaj sądowy. A wnet potém wśród chwilowego uniesienia, kiedy uczucie gniewu i bólu wezbrało po brzegi, zdobywa się na stanowczość, rzuca jakby rękawicę królowi i oświadcza:

— Czuję się maluczką wobec potęgi króla jegomości i nierówną jego mocy, ale dóbr moich, o ile zdołam, od wszelkiéj siły i gwałtu bronić zamierzam i bronić będę.

Gniéw, jak piorun wypadł ze wzburzonéj piersi kobiéty, ulżył chwilowo jéj sercu, minął téż prędko i ustąpił miejsca rzewniejszemu uczuciu.

— Boleję nad tém — rzekła wtedy księżna — że król jmość tak niełaskawie ze mną wychodzi, gdy przecie ojcem moim jest, opiekunem i panem najmiłościwszym. O gdybym ja to przed ślubem była wiedziała, że jkrólewska mość tak niemiłościwym na mnie się okaże, nigdybym za mąż nie była wyszła.

Na szczęście, wojewody przytém wyznaniu, które bynajmniéj nie schlebiało jego miłości własnéj, nie było. Ale dziwićże się nam, takim słowom, które się wyrwały z serca ostatniéj dziedziczki Piastów, skazanéj na wyzucie z ukochanéj ojcowizny?

Niewzruszony temi słowy i tą postawą księżny, poseł i pełnomocnik króla Sobocki, daléj swą sprawę prowadząc:

— Pytam więc wielmożności waszéj — rzecze — ażali mogę już bezpiecznie i bez obawy przystąpić do objęcia wszystkich innych imion (dóbr) jkrólewskiéj mości i Korony, danych waszéj wielmożności na czas pozostawania w stanie panieńskim, oraz do spełnienia tego, co mi jegomość król polecił?

— Co do mnie — odpowie księżna — ręczę za siebie, za męża, oraz za sługi moje, że możesz, panie Sobocki, bezpiecznie udać się do dóbr bez żadnéj obawy. Jeżeli dla pewniejszéj drogi, potrzeba posłać kogoś, to przydam od siebie kilku służebników. Gdyby kto jednak pomimo sług moich, jak to mówią zwykle, „na mój ślad“ waszmości jaką krzywdę uczynił, nie chcę, aby mnie to za winę poczytano. Dotąd waszmość bezpiecznym tam będziesz, dopóki się wstrzymasz od gwałtu lub przemocy. Zresztą

w imionach moich nic innego waszmość nie wskórasz, jeno to, coś tu sprawił. Wszędzie jeden i ten sam od wszystkich respons odbierzesz, jakowy tu odemnie i od moich odbierasz i odbierzesz. Zresztą gdybyś i mnie gwałt zadać zamierzył, zniesiesz waszmość to, co gwałtowników spotyka.

— Téj osłony, którą mi wielmożność wasza dać chcesz — odparł — snać nieco urażony poseł królewski, nie potrzebuję, kiedy się na musztych wystawię dla czci swéj i obowiązku mego względem jkmości, pana naszego najmiłościwszego. Acz nie z własnéj ochoty spełnię to, co mi jest od króla jegomości poruczoném, oznajmuję jednak wielmożności waszéj, że jego królewska mość dostatecznie mnie opatrzył listami bezpieczeństwa publicznego. I nie tylko mnie samego jego królewska miłość w taką zaopatrzył osłonę, ale wszystkich co mi towarzyszą, albo przy wykonaniu rozkazów królewskich towarzyszyć i popierać będą, oraz tych służebników, którychkolwiek w przerzeczonych imionach, jakie objąć w posiadanie poleconém mi jest, zostawię. Przeto wielmożność waszę, tudzież wszystkich ostrzegam i napominam, aby się wstrzymali od wszelkiéj względem mnie i pomienionych krzywdy, jeżeli nie chcą ściągnąć na siebie kary, ustanowionéj przeciwko gwałcicielom spokoju publicznego. I jakkolwiek jego królewskiéj mości, oraz radom jego nie zdawało się potrzebném osłaniać tego rodzaju tarczą listu żelaznego posła swego, skoro wysłańcy jego królewskiéj miłości nietylko w własnych jego, ale i w cudzoziemskich krajach chrześciańskich i pogańskich, jako posłowie bezpiecznie zwykli odbywać podróże, jednakże gdy król jegomość widział, że zuchwałość poddanych do tego doszła stopnia, że nawet posłowie jego nie mogą bezpiecznie się przenosić z miejsca na miejsce i zleceń sobie danych spełniać, gdy nadto spostrzegł, że i wasza wielebność i małżonek pan wojewoda wraz ze służebnikami pobudkę w téj mierze dają, uznał za stosowne glejtem mnie opatrzyć. Przyjdzie zaiste czas, kiedy jego król. miłość raczy w to wejrzéć, aby tę zuchwałość ludzką złamać tak, aby nadal podobnych listów bezpieczeństwa posłom wydawać nie było potrzeba.

Cierpliwie wysłuchawszy téj długiéj i ostréj przemowy Sobockiego, księżna spokojniejszym odrzekła tonem:

— Ależ nie potrzeba było tego, żadna nie zachodziła konieczność, aby tak król jegomość

postąpił. Zarówno mnie jak i męża mego niektórzy panowie tak oczernili w oczach króla jegomości, iż nas znienawidzono. Ja jedna tylko tyle niełaskawego na siebie mam jegomość króla, ale, da Pan Bóg, wkrótce oni sami...

— Nie moja rzecz w to wchodzić. Co do mnie — rzecze poseł — skończyłem wszystko, co mi jego król. mość oświadczyć i uczynić polecił. I powiedziawszy te słowa, odwrócił się i komnatę księżny opuścił.

Na dziedzińcu przed zameczkiem stali tu i owdzie, jakby na rozkazy swéj pani czekając, wierni oficyaliści i słudzy, czeladź dworska i folwarczna. Na głos Sobockiego zbiegli się w gromadę.

— Słuchajcie ludzie — odezwie się do nich donośném słowem woźny czerski, Michał z Radwankowa — król jegomość przysłał tu oto swojego i t. d. I począł przysłuchującéj się wiejskiéj rzeszy mówić o tém, jak jego królewska mość przypadające sobie imiona księżnéj w posiadanie obejmuje i jak ustanawia zakład 30 tysięcy złotych przeciwko każdemu, ktoby odważył się sprzeciwiać i t. d.

Zaledwie skończył swe długie przemówienie, aliści z gromady odezwie się pana wojewody stary sługa, zwał się pono Brzeski i takie krótkie a śmiałe wypowiada zdanie.

— Zakład ten przeciwko prawu i wszelkiéj konstytucyi Korony jest wydany, zwłaszcza gdy się rozciąga na sługi, których żadnemi pogróżkami od służenia panom odstręczać się nie powinno.

I na tem skończył.

A pan wojski mu odeprze:

— Więcéj czynić zobowiązani jesteście względem króla jegomości, zwierzchniego pana wszystkich, jako przystało na wiernych i uczciwych poddanych, aniżeli względem tych, których najmitami jesteście, zwłaszcza jeśli ci przeciwko jego królewskiéj mości rozkazom powstają.

Ale słowa posła i jego woźnych padały, jak groch na ścianę.

Poszli na wieś. Pan wojski Sobocki zatrzymał się w gospodzie, woźnego zaś posłał wraz ze szlachtą, żeby włodarza i gromadę całego Osiecka do niego jako do posła królewskiego, sprowadzili. I począł wołać Radwankowski po całéj wsi, aż się echo rozlegało. Ale jakoś nikt się nie ruszył. Nuż tedy chodzić od chaty do chaty i wreszcie do włodarza. A ten wraz z innymi powiada.

— My tam nic nie wiema o królewskim panu, oświecona jmść księżna to nasza dziedziczka i téj tylko słuchamy.

Tego więc dnia Sobocki nie doczekał się gromady osieckiéj. Nazajutrz zaś posłał innego woźnego, Jakóba Morę, wraz ze szlachtą do chaty włodarza i kazał go trzymać pod strażą, dopókiby sam do niego nie przybył. A gdy po niejakim czasie poseł królewski tam się ukazał z garstką kilku kmieci, których się udało zwołać, pyta ich, czemuby wczoraj na wezwanie woźnych przed nim nie stanęli?

— W imieniu pani wojewodziny — odpowiedzieli kmiotkowie — nie kazano nam nikogo słuchać, do nikogo chodzić, chociażby do posła królewskiego, ale owszem, obliczności jego unikać.

Wręczył wtedy pan wojski włodarzowi listy królewskie, których główną osnowę starał się zebranym obok siebie ludziom osieckim wyjaśnić, nadmieniając, jako dobra pani wojewodziny, dane jéj czasowo, przechodzą odtąd na króla, daléj — jako zabrania się poddanym w czemkolwiek ulegać jéj rozkazom pod utratą wszelkiego imienia, a nawet gardła, a wreszcie jako z rozkazania króla należy słuchać tylko jego jedynie, pana wojskiego, lub tego, którego on im wskaże.

Dla wiadomości zaś ogólnéj, woźny tę samę treść obwieścił donośnym i wyraźnym głosem w czterech miejscach Osiecka wobec licznéj gromady obojga płci ludzi. Rządcą ustanowiono szlachetnego Piotra Krzemieniewskiego, który był służebnikiem pana wojskiego. Włodarza zachowano przy dawnych obowiązkach, przemianowawszy go na włodarza królewskiego, wszystkim zaś zgoła zalecono ponownie przez usta pana Sobockiego, aby odtąd nikogo, a zwłaszcza pani wojewodziny, jéj małżonka i sług ich nie słuchali, pod karami wyraźnie przez woźnego wymienionemi.

Po skończonéj tym sposobem czynności, poseł królewski wrócił do Warszawy, oddawszy Osiecko w zarząd Krzemieniewskiemu. Atoli nowy rządca długo tam nie popasał, księżna bowiem przysłała niebawem swego sługę, Pawła Samborskiego z ostrzeżeniem, aby się nie śmiał wtrącać do zarządu jéj dóbr dziedzicznych i żeby się natychmiast wynosił, jeżeli nie chce się czego gorszego doczekać. Krzemieniewski wziął te pogróżki bardzo do serca, tak, że mu zbrakło odwagi. Uważał więc za stosowne, porzucić za-

raz niebezpieczny posterunek, pójść śladami swego pana i cofnąć się ku Warszawie, zwłaszcza gdy spostrzegł, że to nie przelewki, skoro księżna jednego z kmieci, który panu Sobockiemu oświadczył swą chęć poddania się woli królewskiéj, kazała w kłodę zamkąć i podobno nastawała nawet na to, aby mu rękę ucięto.

IX.

WIERNI SŁUDZY I PODDANI.



Po tych pogróżkach, jakie spotkały nowego rządcę królewskiego w Osieçku, po czynnym oporze, jaki mu stawiono, po zniewadze, jakiéj sam poseł doznał, nie pozostawało chyba nic innego, jeno zaniósłszy do akt grodzkich właściwą relacyą o tém, co zaszło, odwołać się do zbrojnéj siły. Ale obowiązek nakazywał w innych jeszcze, głównych miejscach zarządu dóbr księżnéj, takie same czynić usiłowania, celem objęcia ich w posiadanie. Jakoż po dopełnieniu w Warszawie formalności sądowych, wymaganych przez prawo, po szczegółowém opisaniu w relacyi woźnych tego wszystkiego, co się stało, poseł królewski przystąpił do podobnéj jak w Osiecku czynności i niebawem wyruszył w drogę, tym razem obrawszy za przedmiot swoich działań dobra, leżące z lewéj strony Wisły — Piaseczno,

Będków i Goszczyn, jakby w nadziei lepszego skutku pod nieobecność w nich księżnéj wojewodziny.

Anna znika istotnie na chwilę z widowni stawianego królowi oporu, przez co urywa się niejako wątek, wiążący opowieść naszę z jéj osobą. Pierwszą rolę zaczyna odtąd grać Sobocki. Jeżeli nie ma on do czynienia wprost z księżną samą, to w każdym razie z tymi, którzy jéj rozkazom ulegali. Jak zaś spełniano dane przez nią zlecenia, jak pod jéj nieobecność zachowywano się względem powagi wysłańców królewskich, to poniekąd pośrednio do dziejów księżnéj się odnosi. Opowieść zaś o tém o tyle mniéj pominiętą tu być może, ile że w tém postępowaniu jéj urzędników przebijają się niezmiernie ciekawe, a mało znane rysy tła społecznego, na jakiém występuje główna sprawczyni oporu. Byłaby to niedbałość pióra dziejopisarskiego, gdyby nie podniosło nieznanych szczegółów, ukrytych w pyle zapomnienia; byłaby dziwną obojętność czytelnika, gdyby nie chciał poznać na téj ostatniéj kartce odmalowanych dziejów, w których wydatnie występują pewne i tak sympatyczne znamiona dawnéj społeczności naszéj.

W piątek 11 sierpnia, w kilka zaledwie dni po pobycie w Osiecku, ukazał się pan wojski Sobocki w miasteczku Piasecznie, o trzy mile drogi odległém od Warszawy, w otoczeniu jak poprzednio, woźnych, szlachty, świadków i sług swoich. U drzwi dworu folwarcznego, do którego się udał, położonego nieco na ustroniu, spotykają go: rządca księżnéj, Matyszowski, oraz oficyalista Stanisław Chłapowski i Pełka ze Lwowa. Następuje wymiana nazwisk, wzajemne przedstawienie się, poczém poseł królewski wyłuszcza znane nam już powody swego posłannictwa, oznajmia treść listów królewskich, wskazuje doniosłość zakładu 30 tysięcy złotych, żąda dopuszczenia do objęcia dóbr księżnéj, następnie woźny donośnym głosem odczytuje brzmienie rozkazu, oraz wadyum królewskiego. Rządca wzdraga się przyjąć od posła podane sobie do ręki listy.

— Pytam się was tedy, mości panowie — odezwie się wreszcie wojski Sobocki, czy po wysłuchaniu rozkazów króla a pana naszego najmiłościwszego, który wam takiemi ostremi grozi karami, puścicie mi wolno one imiona, czyli téż bronić ich zamierzacie?

— Jesteśmy—odpowie Matyszowski i zgodni jego towarzysze—służebnikami wielmożnéj

pani wojewodziny, pani naszéj najłaskawszéj i niegodzi nam się dla naszéj uczciwości, a prócz tego sami nie chcemy dóbr tych, które nam są powierzone, ustępować, owszem bronić ich i osłaniać je będziemy, bronimy i osłaniamy według sił naszych.

— W takim razie oświadczam wam, mości panowie, iż z rozkazu królewskiego przepadacie zakład.— I po tych słowach ruszył Sobocki, wraz ze swą czeredą do miasteczka, a zatrzymawszy się w domu jednego z rajców, kazał natychmiast urząd miejski do siebie przywołać.

W miasteczku tymczasem zapanował niezwykły popłoch, zwłaszcza między starszyzną. Pan burmistrz się ukrył, panowie rajcy także się pochowali. Więc szukać ich od domu do domu. Ale napróżno, daremnie. Bo jak tylko się woźny na progu ukaże, już pan rajca przez tylne drzwi czmycha do ogrodu.

Na rynku tedy woźny Jakób Mora, obwieszcza z rozkazu posła, aby się pospólstwo miejskie niebawem wraz z urzędną radą zebrało dla wysłuchania rozkazów króla. Uczynili to mieszczankowie i poszli do pana Sobockiego. Ale burmistrz i rajcy z niemi nie przybyli. Pyta ich więc wojski, coby było powodem ich nieobecności?

— Ze dworu tak nam kazano, aby pod najsurowszą karą nikt się nie odważył iść przed oblicze posła królewskiego. Zalecono nam także, żeby nikt nie śmiał żywności przedawać, ani posłowi ani jego służebnikom.

Natychmiast zatém do dworu zapytanie, coby to znaczyć miało? A rządca Matyszowski każe odpowiedzieć, że jemu samemu i czeladzi schodzi na żywności z miasta i nawet koni nie masz czém karmić.

Na czterech rogach rynku miejskiego obwołano rozkazy królewskie, z ostrzeżeniem, aby nikt odtąd nie słuchał poleceń wojewodziny podolskiéj lub jéj małżonka, albo rządców ich i oficyalistów, ale jedynie pana Sobockiego, jako posła jego królewskiéj mości, oraz tego, którego on ekonomem ustanowi. Ponieważ zaś nikt piśmiennego rozkazu królewskiego przyjąć nie chciał, przybito takowy na drzwiach domu jednego z przedniejszych, jak się zdawało, rajców.

Po dopełnieniu tych czynności, po zamianowaniu rządcą szlachetnego Jakóba Samockiego, pan wojski, wraz ze swojém otoczeniem, nie chcąc się dać morzyć głodem, zboczył z Piaseczna na nocleg do niedalekiéj wsi królewskiéj Jeziory.

A tu za nimi nazajutrz w ich tropy pędzi Samocki, po krótkotrwałych swych rządach, zdaje sprawę z tego, jakiego w Piasecznie doznał „traktamentu“. Niebyło co jeść — powiada — nikt kawałka chleba użyczyć nie chciał, z gospody wyrzucili, a nadomiar biédy, jeszcze największy, jaki szlachcicowi wyrządzić można, despekt go spotkał — jacyś psotnicy koniowi ogon obcięli, uzdę zdjęli i konia na wolność puścili. Listy królewskie na drzwiach przybite w kawałki poszarpano.

W Będkowie znów inna scena.

Do Będkowa, leżącego opodal Piaseczna, w powiecie grodzickim, czyli obecnie grójeckim, przybył poseł królewski wprost z Jeziory, gdzie nocleg odbył — w sobotę 11 sierpnia. Kiedy się zwolna zbliżał do bramy zameczku, który, jak wiadomo, był niegdyś ulubioném miejscem pobytu książąt mazowieckich, spostrzegł na dziedzińcu rojny tłum ludu wiejskiego w zbrojnéj postawie. Ten z kosą, ów z mieczem przy boku, jedni mają cepy, inni długie kopie, owi znów łuki, ci kije, tamci rusznice. Więc kazał przystanąć.

Z bramy wychodzi na spotkanie ksiądz w sutannie, w towarzystwie dwóch szlachty. Był to pleban z Goszczyna, przyległego tuż

miasteczka, a zwał się Benedykt Dzierżanowski. Oświadczył na pierwszym wstępie, że jest rządcą pani wojewodziny i zaraz pyta o powód przybycia.

Więc, jak w Piasecznie, zaczyna swój długi wykład pan Sobocki, objaśnia cel swego przyjazdu, woźny zaś listy królewskie odczytuje, zakład obwieszcza. Ale ksiądz pleban, aż nadto dobrze o wszystkiém powiadomiony, nie czekając zbyt długo, témi odezwie się słowy:

— Ja tam o tych waszych listach i zakładach niczego wiedzieć nie chcę. Oświecona księżna, moja pani, oddawna mnie rządcą ustanowiwszy, dobra swoje całkowicie mi tu powierzyła. W ciężkich opałach, w jakich się księżna dziś znajduje, ja tam dla tych waszych postrachów i pogróżek, dóbr jéj nie opuszczę, ani ich zdradziecko wydam, bo uwłaczałoby to czci mojéj, gdybym postąpił inaczéj. Jeżeliby mi nawet przyszło życiem przypłacić, to wam powiadam, że i dóbr tych nie ustąpię i nie dopuszczę, żeby ktokolwiek miał je brać w posiadanie.

Pan Sobocki perswadował, nakłaniał, ale bezskutecznie. Ksiądz pleban jak rzekł, tak stał przy swojem mocno — jak mur. Więc go prosić, żeby przynajmniéj kazał gromadzie lu-

dzi, co stała na dziedzińcu, przyjść tu, do posła królewskiego, albo pozwolił jemu samemu pójść do nich, bo ma im coś ważnego oświadczyć w imieniu króla jegomości.

— Ani jedno, ani drugie — odpowié na to proboszcz stanowczo.

— Więc może tam woźnego puścicie?

— I tego także nie.

Rozmowa się tedy skończyła. Ksiądz ze świadkami się cofnął. Wrota za nim zatarasowano. Poseł z woźnymi i szlachtą został za bramą.

Położenie wielce niemiłe.

Jakże się teraz dostać do gromady, żeby jéj rozkazy królewskie obwieścić? Płot odgradza gęsty, jak częstokół, a wysoki jak mur zamkowy.

Rada w radę. Aż nareszcie po pewnym namyśle, z polecenia pana Sobockiego, woźny Radwankowski dosiada konia, wspina się na płot, wyciąga szyję, żeby być słyszanym przez ludzi będących na dziedzińcu i w pospolitym języku, czyli po polsku, ogłasza im, aby nikogo innego nie słuchali, jeno posła króla jegomości, pana Sobockiego, a następnie od słowa do słowa powtarza znowu osnowę listów i rozkazów.

Potém na czterech rogach wioski, inny woźny, ponownie w téj saméj treści, obwieścił

mandaty królewskie, które, skoro ksiądz pleban przyjąć ich nie chciał, przybito na froncie, rządcą zaś ustanowiono szlachetnego Mikołaja Krakowieńskiego, o czém znów przez płot podano do wiadomości wiejskiego tłumu. Po dokonaniu téj pracowitéj czynności, wykonawcy poruczeń królewskich porzucili wioskę i udali się do przyległéj tuż mieściny Goszczyna, która jedno stanowiła z dworem będkowskim. Zaledwie się tam jako tako rozgościli, aż tu za nimi pędem przybywa Krakowieński, z oświadczeniem, że już ustąpił ze swego stanowiska, ale nie z dobréj woli, tylko pod groźbą, bo przyszedł do niego ksiądz pleban wraz ze swoimi:

— Idź stąd — rzecze mu — niecnoto, uciekaj, bo ja tego nie ścierpię, aby ciebie tu kto słuchał, ani pozwolę, żebyś się tu do czego wtrącał. Ruszaj więc w pokoju, jeśli nie chcesz, żeby ci się coś gorszego nie trafiło.

Ponieważ miało się już tego dnia ku wieczorowi, więc się w Goszczynie na noc wszyscy rozlokowali, chociaż i tam nie było zbyt wygodnie, bo z polecenia proboszcza podobnież wszelkiéj w miasteczku żywności odmawiano.

Nazajutrz, a był to dzień niedzielny, zwołano burmistrza, rajców i gmin miejski, którzy się powolniejszymi niż w Piasecznie okazali.

Stawili się przed oblicze wysłańca królewskiego natychmiast wszyscy, wysłuchali ze czcią należytą rozkazów i doręczone im przez pana Sobockiego listy przyjęli. Ale kiedy im zalecono, aby sami kazali obwieścić mandaty króla jegomości na czterech rogach rynku miejskiego, oświadczyli w pokorze, że zgoła nie mają pachołków. Więc rad nie rad dopełnił tego woźny Radwankowski. Po wysłuchaniu zaś ogłoszeń, znów się do posła zeszli i taką rzecz do niego uczynili:

— Mości panie pośle! Chętniebyśmy we wszystkiem poddali się rozkazom jegomości króla, gdyby nam tylko dwór tego nie bronił. Ale jak my tamtych nie usłuchamy co we dworze rządzą, to nas zniewolą kaźnią, kłodą i innemi uciążliwościami. Bo i tak już przeciwko zwyczajowi i prawu wycisnęli na nas przed czasem czynsze i wszystkie daniny, zabrali nam woły, konie, krowy i resztę wszystkiego bydła. Więc kogóż my w końcu słuchać mamy, kiedy tego rządcę, co to waszmość go ustanowiłeś, zaraz wypędzono? Gdyby król jegomość przysłał nam tu silniejszego jako zwierzchnika, to co innego, takiegobyśmy słuchali.

A na to, jakby na potwierdzenie słów mieszczan, odezwie się przytomny tam Aron Bylina Suski ze dworu, jeden z towarzyszy księdza plebana:

— Widzę, że mierzi wam życie i światło dzienne.

Po téj krótkiéj, cierpkiéj, lecz jasnéj uwadze, która mieszczankom strachu mogła napędzić nie mało, jakoś ich poseł królewski ośmielił:

— Bądźcie spokojni — rzekł do nich — jeżeli wam się stanie jaka krzywda, albo jeżeli wam nieprawnie co odbiorą, zapiszcie to sobie. Niebawem król jegomość to sprawi, że ciężką karę odniosą ci gwałciciele i zmusi ich, iż sami szkody wam wynagrodzą.

X.

WYZUCIE Z OJCOWIZNY.
SMUTNY KONIEC.



Po drugiéj stronie Wisły, w miasteczkach Garwolinie, Latowiczu i Liwie, dokąd się w dalszym nieprzerwanym ciągu czynności udał sprężysty wykonawca poleceń królewskich, uwydatnił się ten sam jednomyślny, zgodny opór mieszkańców. Wszędzie rozlegały się jednakie woźnych głosy, te same słychać było wezwania Sobockiego, wszędzie jednakową odbierano odpowiedź.

W Garwolinie rządca księżnéj, Kotarski, oświadczył zaraz na wstępie, że z dóbr nie ustąpi, bo wiernym jest sługą swojéj pani. A burmistrz wraz z rajcami śmiało także mówi Sobockiemu:

— My znamy tylko oświeconą księżnę, naszę panią i dziedziczkę, jéj poddanymi jesteśmy i zostać pragniemy. O królu nic nie wiemy

i waszych listów brać nie chcemy. Róbcie sobie z niemi, co wam się tylko podoba.

Kiedy im nowego rządcę przedstawiono w osobie szlachetnego Jana Parulewskiego, wręcz powiedzieli: Bierzcie go sobie, bo tu go nikt nie usłucha.

— My tu—mówili burmistrz i rajcy w Latowiczu, a było to w dzień Matki Boskiśj 15-go sierpnia, — nie znamy króla waszego, naszą panią i dziedziczką jest oświecona księżna mazowiecka — i koniec.

Dotknięty do żywego tém szorstkiem wyznaniem latowickiego urzędu, Sobocki pogroził mu gardłem, na co taką otrzymał natychmiast odpowiedź:

— A no — to już mi wszystko jedno, czy od króla głowę stracę, czy od księżny, kiedy ją zdradzę.

Na zakończenie wreszcie, bo to już ostatnia była czynność, w Liwie nazajutrz po święcie, jeszcze nowa a niespodziewana zniewaga spotkała posła, na którą on najmniéj był przygotowanym, ile że obok miasteczka w zamku grododzierzca siedział, który miał w swym ręku władzę miecza, i którą w imieniu króla Zygmunta sprawował.

Przed pierwszym mostem zwodzonym, co prowadził do bramy zamkowéj, spotyka urzędnosądowych przybyszów rządca Arciechowski w licznym poczcie husarzy, zbrojnych pachołków i po wysłuchaniu głośno obwieszczonego zakładu:

— Waszych zakładów — rzecze — i waszych postrachów się nie boję. Jestem sługą oświeconéj pani księżnéj mazowieckiéj, mojéj najmiłościwszéj pani i dlatego imion jéj nie ustąpię i bronić ich będę, póki sił stanie, póki sama tego żądać będzie. Jeżeli zakład przepadnę, a król mnie dobra moje zabierze, to mój pan najłaskawszy wdwakroć mi to wynagrodzi.

A stojący obok husarz Brujnowski:

— Czego z nim gadasz — doda — po co się przed nim składasz, pójdźmy stąd.

I poszli wnet i bramę zamkową za sobą zatrzasnęli.

Więc poseł królewski idzie do burmistrza.

W domu go nie masz. Podobno pan Jan Truchoń, bo tak się zwał pierwszy między rajcami w mieście Liwie, poszedł na ratusz. Po niego przeto posyłać woźnych, żeby zaraz z rajcami przyszedł. A woźnych nie puszczają raz, drugi. Daremne ich wyczekiwanie. Nareszcie rada miejska wychodzi z ratusza, panowie rajcy

dosiadają koni i daléjże do gościńca opodal, czyli do austeryi.

Nuż tedy pytać pani Truchoniowéj, czemu to mąż jéj tak ucieka przed obliczem posła królewskiego, czemu się tak kryje?

A tu burmistrzowa, jak w złość wpadnie, jak rozpuści język, jak zacznie dobierać bezwstydnych wyrazów:

— Łżesz — krzyknie na Sobockiego — czemu on miał przed tobą uciekać? On dawno na Ruś poszedł.

I na ponowne zapytania posła królewskiego, trzykroć tak z wrzaskiem powtarzała.

Pan wojski, pomny poruczonego sobie obowiązku, mając na względzie czas, miejsce, oraz okoliczności, aczkolwiek zuchwałością baby był mocno dotknięty, zapanował jednak nad swoim gniewem, i tylko temi odciął się słowy:

— Przyjdzie czas, że odpokutujesz ciężko za te zniewagi.

Na czterech rogach rynku woźny Radwankowski odczytał mandaty królewskie, ale wśród zebranego tłumu taki powstał zgiełk, taka wrzawa, taki huk, że ledwie sam siebie słyszał. Sypnęły się zewsząd na niego, oraz na króla obelgi, takie rozlegały się słowa, że, jak sam to w aktach grodzkich zeznaje, przyzwoitość powtórzyć ich

nie pozwala. Szczególniéj odznaczała się straganiarską wymową niejaka Kowisarska. Ta już najnieuczciwsze miotała przeciwko królowi wyrazy.

Przybito wreszcie listy na drzwiach domu burmistrza i ustanowiono rządcą w mieście Samockiego, tego samego, który z Piaseczna był umknął na koniu bez ogona, zaleciwszy najsurowiéj zgromadzonemu tłumowi, aby jego tylko odtąd słuchali. Ale zaledwie pan Sobocki skończył swe krótkie przemówienie na rynku, aliści zerwie się gwałtowny hałas i krzyk piekielny, nad którym znów zapanowała wściekłym swym głosem pani burmistrzowa, wołając wraz z innymi:

— Wprzód my ciebie zabijemy i twego rządcę, nim go tu kto usłucha.

Pomimo tych głośnych pogróżek, Samocki na miejscu pozostać musiał. Poseł zaś wyruszył z miasteczka. Pospólstwo za nim, tłuszcza obok niego. Ci podnoszą ręce, owi odgrażają się i krzyczą:

— My was tu znamy, już tu drugi raz w tych żółtych kabatach od króla przybywacie! Przyjdźcie ponownie, to cało nie ujdziecie.

Pan Sobocki jak mógł, tak panował nad sobą i cierpliwie te obelgi znosił, aż nareszcie

spokojniéj odetchnął, kiedy się dostał na nocleg do wsi królewskiéj, Kamionki, leżącéj przy drodze do Warszawy.

Tylko Samocki pozostawiony w Liwie spoczynku nie użył. Ledwie poseł królewski opuścił miasteczko, aż tu wnet od Arciechowskiego przychodzi doń podpisek z zamku i pyta:

— Coś ty za acz i skądeś się wziął?

— Rządcą króla jmości jestem — odpowié Samocki na to natarczywe pytanie.

— Wynoś się stąd i idź skądeś przyszedł, bo cię sami wyniesiemy tam, gdziebyś być nie chciał.

Więc nie wiele myśląc, za tą naglącą radą podpiska pójść postanowił.

Jeszcze poseł w Kamionce na popasie bawił, aliści Samocki, nie mało zmieszany powtórném swém niepowodzeniem, nadbiegł i osobiście o tém, co ostatnio w Liwie zaszło, zdał mu sprawę.

Skończyła się misya Sobockiego.

Może się tu o niéj zbytecznie tak drobiazgowo rozpisało pióro, podnosząc ulotne pyłki, rozciągając nad miarę szary wątek opowieści o zajściach, jakie się wielekroć przy podobnych czynnościach sądowych przytrafiały, lub przytrafiać mogły. Ale dziejopisowi i takiemi szczegółami, jak się zdaje, gardzić nie przystoi, choćby ze względu na czas i okoliczności tych zdarzeń. Trzeba niekiedy z wysokości szerokiego życia politycznego zstąpić na poziomy spraw codziennych i uchylić zasłony, która tak szczelnie pokrywa dawne nasze tło społeczne. Nie z pajęczéj przędzy wyobraźni wysnuły się szczegóły, które były wyżéj podane. Wzięło się je żywcem z wiarogodnych zeznań posła królewskiego i woźnych. Więc rzeczywistość się w nich odbiła, niczém nie zabarwiona w swéj nagiéj prawdzie, przynajmniéj nie za przyczynieniem ręki obecnie piszącego. A jakież z nich jasne tryskają promienie, oświecając tło społeczne. Warto niektóre rysy ogólnéj natury podnieść i zebrać w wydatniejszą całość.

Sobocki — to wierny obraz wykonawcy poruczeń królewskich. Wysokiéj władzy zlecenia spełnia on szybko i niestrudzenie. W ciągu dni dziesięciu z dwoma powrotami do Warszawy objechał dobra księżnéj, rozrzucone na długiéj łamiącéj się linii. Wytrawny jak dyplomata, nie poddaje się uniesieniu. Trzyma się w równowadze, pomimo obelg słownych i nigdzie gwałtowniejszego nie wywołuje starcia. Wykonywa swój trudny obowiązek, jak przystało na przedstawiciela porządku prawnego.

Słudzy księżnéj, jéj oficyaliści i rządcy, urzędy w miasteczkach jéj podwładnych—to inny obraz, ale także o typowych rysach, których wyraz mieści się również w słowie — obowiązek. Uczucie wierności, szczere, głębokie i niezachwiane wszędzie z wyjątkiem Goszczyna, jak w karném wojsku, które nie rozumując, ślepo, zgodnie wykonywa polecenie wodza i broni do upadłego powierzonéj sobie chorągwi.

Objawy gorącego uczucia przywiązania do pani i księżnéj mazowieckiéj, wykarmionego w ciągu wieków w szeregu pokoleń starych sług, sięgają niekiedy szczytów tragicznego patosu. Ów ksiądz pleban z Goszczyna za płotem, na czele wiejskiéj zbrojnéj gromady, to jakby ów bohatér poematu nieśmiertelnego wieszcza, albo owi kmiotkowie z Osiecka, owi mieszczankowie z Będkowa, Garwolina i innych, co to w żadne nie wdając się rozumowania, trzymają się niewzruszenie swojéj zwierzchności. Gminność, rubaszność, gburowatość małomiasteczkowych „łyków" towarzyszy objawom tego uczucia i razić może wobec zachowania się dworzanina posła, ale nie dziwić się, boć przecież polor z komnat zamkowych królowéj Bony jeszcze się nie mógł dostać do chat buńczucznych, szorstkich, bo bitnych Mazurów.

Obowiązek z jednéj, obowiązek z drugiéj strony, spełniany z pochwały godną ścisłością, wywoływał jednak starcie, za którego odpowiedzialność moralna spadała na tych, co swym podwładnym wydawali rozkazy.

Taką na siebie ściągnęła księżna Anna.

Z niejaką pociechą spoglądać ona mogła na tę rzeszę swoich podwładnych, którzy życie za nią położyć byli gotowi i otuchę stąd brać do dalszego oporu woli królewskiéj, jak się to stało w podobnym wypadku na szerszéj widowni przed dziesięciu laty podczas sejmu warszawskiego, gdy szlachta mazowiecka gorącém się za nią oświadczeniem, popchnęła do sięgnięcia po władzę, — ale trwałego zwycięstwa oprzéć było niepodobna na wątłéj podstawie wrzekomego prawa.

Opór stawiony przez księżnę i z jéj polecenia przy zamierzoném objęciu jéj dóbr w posiadanie, prowadził za sobą następstwa z góry przewidziane i w listach królewskich ściśle określone.

Księżna Anna wraz z mężem, wojewodą podolskim, „przepadała," mówiąc ówczesnym językiem, zakład 30 tysięcy złotych, a nadto oboje stawali się winni zbrodni obrażonego majestatu.

Więc nowe i większe jeszcze powikłanie.

Było ono niemniéj kłopotliwém dla samego króla Zygmunta, któremu poseł zapewne wkrótce zdał osobiście sprawę ze swéj bezskutecznéj czynności. Ostre starcie z wojewodziną-księżną przypadło na czas dla niego bardzo ciężki. Mnożyły się trudności domowe, wzrastał nierząd i swawola szlachty, zasępiały się widoki. Od południo-wschodu nadciągała groźna chmura, Tatarzyn niszczył i łupił bezkarnie Pokucie, Wołoszyn głowę podnosił, Turczyn stał za nim. Zakon niemiecki sięgał po księstwo pruskie, a tu królowi zdrowie nie dopisuje. Od trzech już prawie lat z małą przerwą nie ruszając się z miejsca, bawi on ze swym dworem w Wilnie. Skarży się na ogólną niemoc ciała, na brzemię podeszłego wieku, a głównie dokucza mu ból w nodze, podagra. Sejm oddawna już zapowiedziany ma się odbyć w Krakowie późną jesienią na początku listopada. Królowi ciężko się puszczać w daleką podróż. Dla dogodności dworu, dla większych swych wygód ustępuje nawet od zwyczaju — sejmowania w Piotrkowie i miejsce obrad przenosi do Krakowa. Gdy więc czas już niedaleki, spór z Anną i Odrowążem odkłada do sejmu jesiennego, aby tam pod powagą senatu i posłów rozstrzygnąć zarówno sprawę objęcia dóbr ich w posiadanie, jak i sprawę o zbrodnię obrażonego majestatu.

Wydano pozwy. Księżna Anna i wojewoda małżonek nie omieszkali się stawić w Krakowie. Zagajono sejm, jeden z tych przewlekłych, któryby długim nazwać można, bo trwał od listopada (1536) do początku marca (1537 r.), sto ośm dni się ciągnął, a który to rozniecił zarzewie, jakie wkrótce buchnęło płomieniem anarchii pod Lwowem podczas kokoszéj wojny. Jedną z tych iskier, co tlejącą głownię rozżarzyły, stała się sprawa księżnéj mazowieckiéj i Odrowąża, która z cichego zameczku w Osiecku wypłynęła teraz na burzliwe morze życia politycznego. Niestety, brak szczegółów jéj przebiegu, których w ogóle poskąpiło nam co do całego sejmu ówczesne dziejopisarstwo, nie pozwala tu roztoczyć szerokiego obrazu dramatycznych powikłań. Sąd sejmowy, tyle tylko wiadomo, był złożony. Odrowąż za obrazę majestatu królewskiego został wyzuty ze starostwa lwowskiego, którego dożywotnie posiadanie miał sobie dawniéj zapewnione. Również ze samborskiego musiał ustąpić, które trzymał w zastawie, a które wykupić postanowiła na rzecz swoję królowa Bona. Prócz tego oddalo-

no wszystkie Anny księżnéj oraz jego uroszczenia do dóbr danych jéj na czas pozostawania w stanie panieńskim, podobnież uchylono wszelkie żądania małżonków, aby im zwrócono równoważną ich wartość pieniężną i wynagrodzono za przypadającą im prawnie puściznę. Przed sądem błagał o łaskę Odrowąż, błagała księżna, do nóg królowi i królowéj rzucili się oboje—daremnie. Niektórzy panowie z senatu przyczyniali się za nimi. Jego postąpienie usprawiedliwiali młodym wiekiem, księżnéj zachowanie słabością płci i brakiem poważnéj rady. Ale prośby i łzy nie wzruszały Zygmunta, a szczególniéj twardéj i nieugiętéj Bony, która wyciągała swą chciwą rękę, aby zagarnąć wielkie starostwo samborskie, do którego wykupienia niebawem przystąpiono.

Już miesiąc po skończonym sejmie, ten sam co dawniéj, wojski Sobocki w imieniu króla odbierał bez żadnego oporu także dobra księżnéj na Mazowszu.

Podobna surowość wyroku, który mógł być przez króla złagodzony, rzuciła ziarno głębokiéj przeciwko niemu i królowéj niechęci w umysły nietylko posłów stanu rycerskiego, ale i tych panów, co sami Odrowąża swym sądem potępili, tak iż jakoby odtąd gwałtownie

w całym kraju nurtować poczęły prądy, które jak wezbrane fale powodzi rozlały się szeroko w postaci jawnego rokoszu pod Lwowem.

Że tak poniekąd było, nie ulega wątpliwości, ale żeby krzywda Odrowąża stała się istotnie ową silną sprężyną ruchu anarchicznego,— nie sądzę. Dolała ona wprawdzie nieco oliwy do ognia, który oddawna tlał w zarzewiu, lecz pożogi nie wznieciła. Rozdmuchiwała szlachta tę sprawę podczas rokoszu lwowskiego, jednak sam wojewoda podolski uśmierzał pod tym względem rozognione umysły, nie kładąc jéj między rzeczy publiczne. „Moja klęska osobista, — rzekł Odrowąż w swém krótkiém przemówieniu, — mieć będzie taki koniec, jaki jéj Bóg przeznaczy.“

I w tych pięknych obywatelskich słowach, zdaje się, jakby się odezwał głos chrześciańskiéj pokory księżnéj mazowieckiéj, która spór swój z królem polskim innéj, wyższéj, nie ziemskiéj sprawiedliwości oddała pod rozsądzenie.

Na zamku w Jarosławiu spędziła resztę swego skołatanego żywota ostatnia dziedziczka Piastów, zdala od rodzinnéj ziemi mazowieckiéj.

Tam nie dolatywał jéj uszu łoskot walących się pod siekierą prastarych dębów w osieckich borach, które zarząd królewski niemiłosiernie trzebić zaczął.

Wśród smutnych wspomnień przeszłości, źródłem pociechy macierzyńskiéj stała się urodzona około 1540 roku Zosia, która imieniem swém miała przypominać starszą siostrę księżnej, wdowę po wojewodzie węgierskim, ta bowiem powtórnie weszła w związki, poślubiwszy węgierskiego magnata, Ludwika Pekri, jeszcze gorzéj niż pierwszy mąż, Stefan Batory, przez cierpki los prześladowanego. Na usychającéj gałęzi pnia mazowieckiego tylko ta jedna wyrosła latorośl. Po księżnie Zofii w Węgrzech podobnież jedna tylko pozostała córeczka Anna i ta w kwiecie wieku, około 1543 r., zeszła z tego świata.

Tak gasną często wielkie rody, tak usycha, wątleje w nich odżywcza siła i przepada jak liche nasienie w jałowym piasku.

Księżna Anna, któréj mąż pogodził się prędko z losem i nawet po upływie pewnego czasu stanął stopniem wyżéj, zostawszy wojewodą ziem ruskich, znika z widowni w początkach 1547 r., w dwa lata po zgonie swego małżonka.

Zofia Odrowążówna, jéj córka, wcześnie została sierotą. O niéj, jako nie mającéj ojca i matki, znajduje się w aktach r. 1547 i 1549 pobieżna wzmianka. Będąc sierotą, jak niegdy księżna-matka, wyszła jesienią 1555 r. za mąż za Jana Krzysztofa Tarnowskiego, późniejszego kasztelana wojnickiego. Po kilku latach została wdową. Odziedziczyła piastowskich córek gorącą wiarę i głębokie uczucie pobożności. „Tak świątobliwie żywot swój wiodła, — powiada współczesny jéj Bartosz Paprocki, — że dlatego mogła być równana do owych wdów, które Pismo świętemi zowie. Była to matka wszystkich sierot i innych ludzi, którzy ratunku potrzebowali, wielka zapomożycielka, wielu ubogich panienek tak szlacheckiego, jak i inszego stanu w małżeńskie stany rozdała, posagi po nich dawała i dóbr swoich ojczystych udzielała. — Taż — pisze tenże dziejopis, — dla wielkich cnót, a świątobliwych spraw i żywota, od króla Augusta była żądaną do stanu małżeńskiego, chcąc jéj i to nagrodzić, aby była uczestniczką dziadowizny swéj, albo babizny, z któréj była od jego przodków ogołocona. Ale ona to wszystko wzgardzając, jako pani bogobojna, dla słusznych przyczyn z tego się królowi i jego posłom wymówiła.“ Wyszła atoli,

jak wiadomo, powtórnie za mąż za Jana Kostkę, wojewodę sandomierskiego [1]).

Więc płochy w miłości, choć wielkiego serca, król Zygmunt August, pragnął daremnie spoić ród jagieloński z drobnym listkiem piastowskim, który pozostał po Annie, ostatniéj księżnie mazowieckiéj.

---

1) Portret jéj znajduje się w galeryi wilanowskiej, Zob. „Album Wilanowskie" wyd. Gersona i Skimborowicza. Warszawa, 1877 str. 3.

PRZYPISKI.

ROZDZIAŁ I. (do str. 14).

Rok wyjścia zamąż księżnéj Zofii błędnie podawany przez różnych historyków, da się ustalić na podstawie listu króla Zygmunta z dn. 14 grudnia 1522 r., pisanego do książąt Stanisława i Janusza (*Acta Tomiciana*, VI, str. 164), gdzie jest wzmianka o tém, iż księżna narzeczona ma być wkrótce odprowadzoną na Węgry do swego przyszłego małżonka.

ROZDZIAŁ II. (do str. 26).

Testament Janusza z dn. 4 marca 1526 r. w ks. Metr. 41, str. 109, p. n. *Donatio ducalis certe summe pecuniarum super toto ducatu il-me domine principi Anne sorori charissime.* Daty chronologiczne ustalone na podstawie księgi powyższéj metrycznéj z czasów Janusza, tudzież ówczesnych ksiąg sądowych ziemskich i grodzkich warszawskich, N. 14 i następne. Za źródło do dalszych wiadomości posłużyła ks. Metr. 41, w któréj na kilkudziesięciu kartkach mieszczą się czynności z czasu rządów księżnéj Anny.

ROZDZIAŁ III. (do str. 42).

Opiera się głównie na relacyi posłów królewskich w *Acta Tom.*, VIII, str. 174 i n., oraz na innych aktach, które się mieszczą w pomienionym zbiorze.

ROZDZIAŁ V. (do str. 77).

W dalszym ciągu zebrano wiadomości z akt sądowych łomżyńskich, zakroczymskich i warszawskich. Ważniejsze z tych dokumentów ukażą się w osobném dziele.

ROZDZIAŁ VI. (do str. 96).

Akta odnoszące się do uposażenia księżnéj Anny w Metr. 40, fol. 376 i n., oraz spłacenia długów przez króla Zygmunta. — Uroczysty pogrzeb Janusza odbył się wspólnym, jak się zdaje, kosztem króla i księżnéj Anny, Księżna siostra pożyczyła w tym celu 400 kóp gr. od szlachty Drwalewskich i synów Pawła Zawiszy z Budziszyna, którym król w następnym roku 1527 dał w zastaw, aż do umorzenia tego długu wieś Goździec (M. 40, f. 612),

Z roku 1533-go znajduje się dokument w Metr. 69, f. 65, potwierdzony przez króla Zygmunta wydany w Garwolinie przez księżnę z tytułem: *Anna virgo dei gracia dux Masovie, Russie*, — a zawierający uposażenie dla księdza przy kaplicy św. Anny w Garwolinie. Akt pisany po łacinie, podpis zaś brzmi po polsku w następującym kształcie: „Anna xiażna własną ręką.“ — Z roku 1532-go (Ks. Liw. 6 f. 26) jest akt darowizny jednéj włóki pustéj na rzecz szpitala w Liwie i na zbudowanie domu dla księdza szpitalnego.

ROZDZIAŁ VII. (do str. 107).

Stanisław ze Sprowy Odrowąż, wojewoda podolski, mąż Anny, księżnéj mazowieckiéj, następnie wojewoda ziem ruskich, dał powód do licznych błędów w dziełach zarówno heraldycznych jak i historycznych. Wydawcy „Listów Hozyusza“ (T. II, str. 632, przyp. 1) nazywają go Andrzejem przez oczywiste niedopatrzenie. Inni znów plączą ustawicznie małżonka księżnéj z drugim Stanisławem ze Sprowy Odrowążem, także wojewodą, który żył w tym samym czasie. Wydawcy

„Akt grodzkich i ziemskich lwowskich“ (T. X, str. 519), nie odróżniając obu Stanisławów, łączą ich w jednę osobę. To samo uczynił już dawniéj Niesiecki. A jednak nie podpada żadnéj wątpliwości, że w jednym i tym samym czasie było dwóch Stanisławów Odrowążów i obaj godności wojewodów piastowali. Akt z roku 1539 (Metr. kor. 58, f. 68) najlepiéj o tém przekonywa. Jednocześnie w nim występują Odrowążowie:

A. Stanisław ze Sprowy, wojewoda podolski.	*B*. Stanisław ze Sprowy, wojewoda ziem ruskich, star. opoczyński,

Pierwszy z nich, który stanowi przedmiot naszéj opowieści, jest właśnie mężem księżnéj Anny, drugi zaś jest jego stryjem lub stryjecznym bratem. Pierwszy, będąc znacznie młodszym od drugiego, stanął z nim na jednym niemal szczeblu godności w hierarchii dostojników, dzięki swym stosunkom. Zestawienie niektórych dat w życiu jednego i drugiego najlepiéj uwidoczni różnicę, jaka w rozwoju ich życia i działalności zachodziła:

A. (mąż Anny, ks. maz.).	*B*. 1502 r. (M. 19, f. 62) Stan. i Jan, star. opoczyński.
	1504. (M. 19, f. 158) Stan. i Jan, star. opoczyński.
	1511. (Metr. 25, f. 52) Stan. ze Sprowy, *kasztelan żarnowski*, star. opoczyński,
1527 Mart. 7. *Stan. ze Sprowy, syn Jana, wojewody ruskiego* i *star. samb.* kwituje kanclerza, tudzież podskarbiego Szydłowieckich z opieki (*adultus factus*), oraz z zarządu	1527. (Metr. 42, f. 237, kasztelan *biecki*.

spadku testamentowego po babce, Beacie Tęczyńskiéj. Nadto, siostry Beatę i Jadwigę nieletnie przy zamąż pójściu, lub przy dojściu do pełnoletności, zobowiązuje się do takiegoż pokwitowania przywieść (Metr. 40, f. 426).

1530. St. na Jarosławiu, dziedzic star. samborski i zinkowski (Metr. 45, f. 488).

1530. Stanisław na Jarosławiu i Zinkowie, dziedzic (dypl. Arch. Gł., nr. 1531).

1530. Dec. 20. Krak. Metr. 45, f. 585, oprawia posag żony swéj Katarzyny, córki Łukasza z Górki, kasztelana poznańskiego.

1531. Apr. 28. (M. 45, f. 759). Dożywotnie posiadanie star. sambors. zapewnione Stan. Odrowążowi przez króla Zygmunta.

1533. Krak. Apr. 7. Metr. 48 f. 815, zostaje *kasztelanem lwowskim* Stan. Odr. de Sprowa *capit. Sandomiriensis* (zam. *Samboriensis*). Jest-to oczywista pomyłka).

1530. St. ze Sprowy Odrowąż, kasztelan *wiślicki*, starosta opoczyński, świadek (Metr. 45, f. 488.

1533. Metr. 48, f. 1131. Stan. de Sprowa, *kaszt. wiślicki*, starosta i dzierżawca opoczyński.

1534 Aug. 17. (M. 49, f. 148). St. Odrowąż otrzymuje od króla *starostwo lwowskie*.

1535. Octobr. 25. Metr. 51. f. 140, mianowany *wojewodą podolskim*.

1537. Apr. M. 54, f. 23, *wojew. podolski*, pozbawiony starostw sambor. i lwowskiego, pisze się hrabią na Jarosławiu.

1538. Apr. M. 54, f. 326. Zobopólny zapis dożywocia.

1539. — *wojewoda podolski*.

1540. Apr. 1. Crac. M. 61, f. 254, wojew. pod., hrabia na Jarosławiu' do herbu Odrowążów za zgodą króla przyjmuje swego nauczyciela, Andrzeja Falka.

1543 —. występuje jako *wojewoda ruski*.

1545 w początkach marca lub kwietnia umarł (Metr. 70, f. 11), po nim, jako po zmarłym, postępuje na województwo ruskie Piotr z Dąbrowy, wojewoda lubelski.

Stan. ze Spr. Odr. mianowany *wojewodą bełzkim*. (Tamże jednocześnie).

Stan. ze Spr., *wojewoda ziem rusk.*, i star. opoczyński.

Umarł około tego czasu.

Z powyższego płynie niezbity dowód, iż jednocześnie istnieli dwaj Stanisławowie Odrowążowie. Pierwszy (A) z nich, mąż księżny Anny, jest panem na Jarosławiu, które to

dobra odziedziczył po matce, drugi (B) z linii opoczyńskich starostów, używany był często przez Zygmunta do różnych poselstw zagranicznych.

Stosunki rodowe Stanisława (A) Odrowąża tak się przedstawiają na podstawie świadectw, które się mieszczą w Metryce koronnéj:

Jan Odrowąż, wojewoda ruski, nie żyje już w 1493 r.
żona Beata Tęczyńska

Jan Odrowąż, wojewoda ruski, star samborski, † 1513 r.
żona Anna, córka Spytka z Jarosławia

Stanisław, star. samb. i zink. żona Anna księżna mazowiecka, † 1545 r. — siostra Beata-Jadwiga, mąż Stan. Łaski, wojewoda sieradzki.

UWAGA. Różność dwóch jednocześnie żyjących Stanisławów ze Sprowy Odrowążów, stwierdza nadto wiersz Krzyckiego: Dialogus de diaeta asiana, gdzie w przypiskach objaśniających bezimienne osoby, przytoczeni są obaj pomienieni Stanisławowie zob. Carmina Andr. Cricii, Kraków 1888, str. 286 287.

ROZDZIAŁ VIII. (do str. 122).

Pozwy, mandaty, listy królewskie, oprawa posagu, poręczenia, wadya, relacye woźnych i t. d. w księgach sądowych warsz., N. 18, f. 6, 18, 960, 1013.

ROZDZIAŁ X. (do str. 161).

Vita Petri Kmithae ed Dobrom., 1611, str. 291. *Conciones* co do rokoszu pod Lwowem, 1537 r. — Objęcie w posiadanie zamku liwskiego przez Sobockiego nastąpiło w d. 5 kwietnia

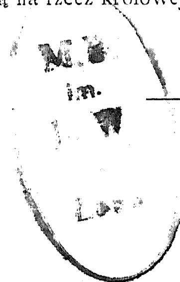
1537 r., jak świadczy akt spisany w tym przedmiocie przed urzędem grodzkim (Ks. Liw. 6, f. 135.

Do str. 164. O córce Zofii węgierskiéj, Annie, jako zmarłéj, wspomina akt z r. 1543 pod dn. 11 marca (Metr. 65, f. 45), w którym księżna Anna męża swego, Stanisława Odrowąża, wojewodę ziem ruskich, do wszystkich praw spadkowych po swéj siostrzenicy przypuszcza.

Ostatni ślad księżnéj Anny, jako dowód jéj istnienia, odnosi się do r. 1547, kiedy u króla Zygmunta w Krakowie wyjednała pod dniem 22 marca przywiléj na jarmark w mieście swojém, Jarosławiu (Metr. 74, f. 413).

Wzmianki o córce jéj Zofii w 1547 i 1549 r. *Zophia de Sprowa ol. pal. Russie filia* (M. 74, f. 11; 76, f. 274.

Wykupienie star. sambor. przez Bonę nastąpiło niebawem po sejmie 1537 r. Zdaje się, że Odrowąża skwitowano sumą 19,187 zł. (Metr. 67, f. 207). Oprawienie posagu królowéj na dobrach królewskich w Mazowszu nastąpiło dopiéro w 1545 r. (*ibid.*) O pogodzeniu się z nią Odrowąża świadczy między innemi darowizna wsi Prusy w sambor. przez niego uczynioną na rzecz królowéj w 1540-ym roku (Met. 57, f. 277).



TREŚĆ.

I. MŁODOŚĆ.

II. ZGON OSTATNIEGO KSIĘCIA.

III. NA TRONIE.

1257